

Anna Bikont
My z Jedwabnego



Anna Bikont

My z Jedwabnego



Wołowiec 2012

Niniejsza darmowa publikacja zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody

NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA /

PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce pochodzi ze zbiorów

Jose Gutsteina, www.radzilow.com

Fotografia Autorki © by MARCEL ŁOZIŃSKI

Wybór i układ zdjęć PATRYCJA KWAS

Copyright © by ANNA BIKONT, 2004

Wiersz Zbigniewa Herberta *Pan Cogito szuka rady* © by KATARZYNA HERBERT, HALINA HERBERT-ŻEBROWSKA

Mapa Jedwabnego na s. 552-553 © by MAGDA KOROTYŃSKA

Mapa Jedwabnego na s. 353 © by JACOB BAKER

Redakcja JOANNA SZCZĘSNA

Adiustacja nowego wydania i indeks nazwisk

ALICJA LISTWAN / D2D.PL

Redakcja naukowa KRZYSZTOF PERSAK

Korekta MAGDALENA KĘDZIERSKA-ZAPOROWSKA /

D2D.PL, ANNA WOŚ / D2D.PL

Przekład pamiętników i dokumentów opracowanych na użytek tej książki:

z hebrajskiego i z jidysz – HANNA LANOTA

z angielskiego – PIOTR BIKONT

z hiszpańskiego – ANNA HUSARSKA

Projekt typograficzny, redakcja techniczna
i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-434-7

Wołowiec 2012

Wydanie II

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.,

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300
Gorlice, tel. +48 18 353 58 93, fax
+48 18 352 04 75

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl,
tomasz@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa, tel.
+48 18 351 00 70, e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159
Warszawa, tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu:

ewa.nowakowska@czarne.com.pl

Dział sprzedaży:

irek.gradkowski@czarne.com.pl, tel.

504 564 092, 605 955 550

Skład: d2d.pl, ul. Morsztynowska 4/7, 31-029

Kraków, tel. +48 12 432 08 52, e-mail: [in-](mailto:info@d2d.pl)

[fo@d2d.pl](mailto:info@d2d.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Zapiski 28 sierpnia – 28 grudnia 2000](#)

[Rozdział 1 Od Żydów Polskę racz oczyścić, Panie](#)

[Zapiski 2 stycznia – 6 lutego 2001](#)

[Rozdział 2 Chciałem ocalić jej życie, miłość przyszła później](#)

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

28 sierpnia 2000

– To kłamstwo, że w Jedwabnem Żydów zabili Polacy – oświadcza Tadeusz Ś., emerytowany lekarz z Warszawy, naoczny świadek wydarzeń z 10 lipca 1941 roku.

Tadeusza Ś. przyjmuje w swym gabinecie mój szef, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” Adam Michnik. W głosie Adama, gdy mi oznajmiał, że – według poleconego mu przez zaprzyjaźnioną osobę Tadeusza Ś. – dokonaną w Jedwabnem zbrodnią nie można obciążać Polaków, słyszałam podekscytowanie i zarazem ulgę. Wiem, że nie był w stanie przyjąć do wiadomości ujawnionych w *Sąsiadach* Jana Tomasza Grossa faktów. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Jeszcze nim w maju ukazała się książka Grossa, mówiłam na zebraniu redakcji, że powinniśmy przygotować re-

portaż o miasteczku, które będzie musiało się skonfrontować ze zbrodnią sprzed lat.

Gross w *Sąsiadach* odtwarza przebieg zbrodni na podstawie trzech źródeł: złożonego po wojnie świadectwa uratowanego z pogromu Szmula Wasersztejna, akt sądowych z powojennego procesu przeciw uczestnikom mordu, sądzonym za współpracę z Niemcami, i wspomnień żydowskich współmieszkańców z wydanej w USA *Jedwabieńskiej księgi pamięci*. Stawia ostre wnioski i jeszcze ostrzejsze hipotezy. „Mniej więcej połowa dorosłych mężczyzn wymieniona jest po nazwisku wśród uczestników pogromu. Było to zbiorowe morderstwo w podwójnym tego słowa znaczeniu ze względu na liczbę ofiar i prześladowców”.

Moje propozycje wyjazdu do Jedwabnego Adam odrzucił. Teraz chce, żebym na własne uszy usłyszała, jak było. Uparł się, żebym była przy rozmowie, choć Tadeusz Ś. długo nalegał na spotkanie z nim sam na sam. Nasz rozmówca nie pozwala nagrywać, nie chce, żeby podawać jego nazwisko. Z oporami zgadza się, bym robiła notatki.

W 1941 roku miał piętnaście lat. Akurat 10 lipca był w Jedwabnem. Mówi, że przyjechał do dentysty.

– Rano na rynek przyjechały dwa motocykle z Niemcami w czarnych mundurach gestapo. Patrzyłem z balkonu, jak kazali się Żydom zbierać. Rabinowi włożyli czarny kapelusz na kij, dla urągowiska. Poszedłem za Żydami aż do stodoły.

Adam Michnik pyta:

- Ilu pan widział pod stodołą Niemców?
- Trzech. Niemcy lubią porządek, więc kazali przyprowadzić gospodarza, żeby ją otworzył kluczem, choć mogli wyważyć drzwi.
- I to wszystko zrobiło trzech Niemców?
- Pewnie było ich więcej, w cywilu. A trzech było w mundurach, z pistoletami. Widziałem, że Żydzi sami wchodzili do stodoły, jak zaHIPNotyzowani.
- I nie próbowali uciekać, kiedy płonęła?
- Nie próbowali. To straszne.
- Jacyś Polacy brali udział w tej zbrodni?
- Nie, żaden.
- W każdej społeczności jest element przestępczy. Wystarczy dziś wziąć dowolną gazetę, a znajdzie pan w niej pełno doniesień o gwałtach, morderstwach. W czasie okupacji byli szmalcownicy.

– Tylko w dużych miastach. Pan nie zna prowincji. Tam mieszkają rdzenni Polacy, szlachta zaściankowa. Obce było im mszczenie się za to, że Żyd za Sowietów Polaka wydawał. Krzyczeli pod stodołą: „Uciekajta, Żydy!”. Trzech Niemców tylko stało z obrzynkami, to nawet nie były karabiny. Starsi ludzie, którzy tam byli, mieli pretensje. W następną niedzielę mówili o tym pod kościołem.

– Pretensje do siebie?

– Do Żydów. Żadnego z nich nie było stać, by rzucić się na Niemców.

– Mieli pretensje do pomordowanych?

– Że sami się nie bronili.

– Przecież jeśli na moich oczach kogoś mordują, powinienem pomóc. A jeśli tego nie robię, ze strachu, ogłupienia, z tego, że sytuacja

mnie przerasta, winię siebie, nie zamordowanych.

– Polacy pomogliby im, gdyby oni się rzucili na Niemców. Kiedy karabiny brali za władzy sowieckiej i po wsi jeździli, to byli chojracy, a gdy ich Niemcy prowadzili do stodoły, to co? Społeczeństwo się obraża, że się je w to wplątuje, bo Żydzi powinni byli sami się bronić. Przypisywano im tchórzostwo, bo oczekiwali, że będą bronieni przez Polaków, i sami nic nie zrobili. Ale że tam było tysiąc sześćset osób, to kłamstwo i kpina.

– A według pana ilu ich było? – wtrącam się do rozmowy.

– Tysiąc, nie więcej – odpowiada Tadeusz Ś. Patrząc na Adama i widzę, że błędnie.

Na zakończenie Ś. raz jeszcze zastrzega:

– Proszę nie wymieniać mego nazwiska, nie chcę, by pod domem czatowały na mnie żydowskie jastrzębie.

1 września 2000

Instytut Pamięci Narodowej zapowiada wszczęcie śledztwa w sprawie zbrodni w Jedwabnem.

Spotkany na korytarzu w „Gazecie” Adam Michnik mówi, że rozmowa z Tadeuszem Ś. nie daje mu spokoju. Proponuje, bym na jej kanwie napisała opowiadanie, którego akcja rozgrywa się w miasteczku J. w czasie wojny. Ale ja nie umiem pisać opowiadań. Postanawiam poprosić o urlop z „Gazety”. Musi istnieć w miasteczku pamięć zbrodni, muszą żyć jeszcze jacyś świadkowie. Spróbuję zrekonstruować fakty, ale też odtworzyć, co działo się z pamięcią

tamtych wydarzeń przez następne sześćdziesiąt lat.

5 września 2000

Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie. Trzymam w ręku pięć stroniczek luźno pisanego, podkreślonego rękopisu – to przetłumaczona z jidysz relacja Szmula Wasersztejna z Jedwabnego: „Zabijano niemowlęta u piersi matek, bito morderczo i zmuszano do śpiewów i tańców. Pokrwawieni, skaleczeni, zostali wszyscy wepchnięci do stodoły. Potem stodoła została obłana benzyną i podpalona. Po czym poszli bandyci po żydowskich mieszkaniach, szukając pozostałych chorych i dzieci. Znalezione chorych zanieśli sami do stodoły, a dzieci wiązali po kilkoro za nóżki i przy-

taszczali na plecach, kładli na widły i rzucali na żarzące się węgle...”.

6 września 2000

Jedwabieńska księga pamięci, opracowana przez dwóch rabinów, braci Juliusa i Jacoba Bakerów, którzy jeszcze przed wojną wyemigrowali z Jedwabnego do Ameryki, przez dwadzieścia lat istniała w stu egzemplarzach. Dziś czytam ją w internecie (www.jewishgen.org/Yizkor/jedwabne/Yedwabne.html). Odnajduję tam relacje o dniu piętnastego miesiąca tamuz roku 5701 – czyli 10 lipca 1941 roku – spisane przez Rivkę Fogel („Goje obcięli głowę córki Judki Nadolnika, Gitele, i bawili się nią jak piłką”), Itzhoka Newmarka („Polacy z pieśnią na ustach oblali benzyną stodołę, gdzie stłoczono Żydów”),

Awigdora Kochawa („Grupa chłopaków potłukła mnie bezlitośnie i zawlekli mnie na rynek; poganiali i bestialsko bili umęczonych, głodnych i spragnionych ludzi, którzy mdleli od stania cały dzień w piekącym słońcu”) i Herschela, trzeciego brata Bakerów z Goniądza („Matka, kompletnie wyczerpana, dotarła [z Jedwabnego] do Goniądza 14 lipca; uciekając przed masakrą, biegła z Jedwabnego przez pola i lasy. Nie mogła dojść do siebie po tym, co widziała, jak Polacy unicestwili wszystkich Żydów”).

25 września 2000

Muszę pokonać różne teksty do „Gazety”, więc składam podanie o urlop bezpłatny od 1 stycznia.

28 września 2000

Ruszamy w kilkusobowej grupie przyjaciół na wycieczkę do Wilna. Po drodze zatrzymujemy się w Sejnach u Małgorzaty i Krzysztofa Czyżewskich, twórców Ośrodka Pogranicze i wydawców *Sąsiadów*. Irena Grudzińska-Gross opowiada, że Janek Gross chciał umieścić świadectwo Wasersztejna już w zbiorze esejów *Upiorna dekada*. Irena poradziła mu, żeby to usunął. Jak można – przekonywała go – na podstawie jednego świadectwa uwierzyć w coś tak potwornego?

23 października 2000

Na Dniach Książki Żydowskiej organizowanych przez „Midrasz”, żydowski miesięcznik założony przez Konstantego Geberta, dyskusja

o książce Grossa. Profesor Ireneusz Krzemiński, socjolog, nawiązuje do głośnej książki harwardzkiego historyka Daniela Goldhagena *Gorliwi kaci Hitlera* (Goldhagen dowodził, że w dziele Zagłady wzięli udział „zwyczajni Niemcy” oderwani na chwilę od warsztatów pracy i biur, mogli odmówić, ale w ich pojęciu był to czyn sprawiedliwy i moralny, Żydzi bowiem uosabiali zło).

– Goldhagen analizował zachowania urzędników zbrodni – mówi. – W Jedwabnem ludzie stali się mordercami z własnej woli. Coś jednak łączy jednych i drugich: wiara, że można kogoś naznaczyć i wykluczyć z ludzkości, oraz przekonanie, że ludzie wyłączeni spod jurysdykcji prawa zostają wyłączeni spod jurysdykcji sumienia.

Profesor Jerzy Borejsza, historyk, zwraca uwagę, że nie można wyjaśniać zbrodni zachowaniem Żydów w czasie okupacji sowieckiej:

– Niewątpliwie Żydzi witali radośnie Armię Czerwoną. Tylko że to samo dotyczy Białorusinów, a nie było pogromów białoruskich. Te przyczyny leżą dużo głębiej.

18 listopada 2000

W „Gazecie” wywiad Jacka Żakowskiego z profesorem Tomaszem Szarotą *Diabelskie szczegóły*. „Nie zdawaliśmy sobie sprawy – mówi profesor Szarota – że Polacy byli też sprawcami Holokaustu. A w Jedwabnem byli. I to nie jacyś pojedynczy dewianci, którzy w każdej społeczności się znajdują, ale tłum z władzami miasteczka na czele”. Ale zaraz do-

daje, że diabeł często siedzi w szczegółach. Grossowi zarzuca, że nie próbuje wyjaśnić, „dlaczego 1500 zdrowych, będących w pełni sił osób prowadzonych na śmierć przez mniej niż setkę uzbrojonych tylko w kije zbrodniarzy nie próbowało się bronić ani nawet uciekać”.

Trudno pojąć, jak Szarocie, autorowi książki *U progu Zagłady* o pogromach w okupowanej przez Niemców Europie, takie zdanie mogło przejść przez gardło. Przecież w tym tłumie byli starcy, kobiety z dziećmi przy piersi, kilkulatki uczepione matczynej spódnicy (żydowskie rodziny były najczęściej wielodzietne), młodych mężczyzn natomiast jak na lekarstwo – ze świadectwa Wasersztejna wynika, że wymordowano ich wcześniej tego dnia. Ile Szarota zna przypadków, by tłum

prowadzony na śmierć zbuntował się i zaatakował oprawców?

Powołując się na śledztwo prowadzone na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przez prokuratora Waldemara Monkiewicza z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Szarota zarzuca Grossowi, że nie zajął się zbadaniem udziału Niemców w zbrodni: „Wątpię, żeby prokurator z palca wyssał tych 232 Niemców, ciężarówki i samą postać Wolfganga Birknera. Tak czy inaczej – nie jest w porządku, że w książce Grossa nazwisko Birknera w ogóle nie pada”.

Ja osobiście do śledztwa prowadzonego w czasach narodowo-komunistycznego antysemityzmu spod znaku Moczara podchodziłabym z dużą ostrożnością. Gross miał w ręku zeznania świadków z procesu z 1949 roku. Jak

to możliwe, by żaden nie zauważył kolumny ciężarówek? Nie wiem, ilu pod jedwabieńską stodołą było Niemców, ale Tadeusz Ś., który chciał przekonać Adama Michnika, że Polacy nie mieli z tym nic wspólnego, widział ich trzech.

Obok rozmowy z Szarotą tekst Żakowskiego. Atakuje Grossa za język, jakim posługuje się w *Sąsiadach*: „To język wojny etnicznej. Język ludobójstwa. Gross nas w stronę takiego języka wyraźnie popycha. [...] przez ostatnie pół wieku podjęliśmy w Europie bardzo wiele wysiłków, by rozumem zgłuszyć etniczne emocje, [...] by kulturą okiełznać niebezpieczną naturę. [...] Tym bardziej się dziwię Janowi Grossowi – który sam ten język kiedyś w Polsce słyszał – że gotów jest się teraz do niego odwołać, podejmując ryzyko dożywienia

przymierających upiorów. [...] Słowa i myśli mogą realnie mordować. Dlatego chciałbym tu bardzo zdecydowanie zachęcić do samoograniczenia w imię naszego wspólnego bezpieczeństwa”.

Jakże trudno mord w Jedwabnem przyjąć do wiadomości, skoro ma z tym problem nawet Żakowski, autor tekstu *Czarna sukienka* o polskim grzechu obojętności, gdzie porównywał powstanie styczniowe, po którego upadku Polki masowo wdziewały żałobny strój, z powstaniem w getcie warszawskim, po którego zdławieniu Polacy nie poczuwali się do żałoby.

21 listopada 2000

Mówią mi w „Gazecie”, że ktoś dzwonił, chciałby opowiedzieć o Radziłowie. Oddzwaniam. Jan Skrodzki mieszka w Gdańsku ale pochodzi

z odległego od Jedwabnego o osiemnaście kilometrów Radziłowa, gdzie trzy dni przed zbrodnią w Jedwabnem też zgładzono całą społeczność żydowską. 7 lipca 1941 roku jako mały chłopiec z okna domu rodzinnego oglądał zza firanki pędzonych na spalenie Żydów. Nie widział żadnego Niemca. Cytuje mi zdanie z artykułu Żakowskiego: „Jan Gross odpowiada za siebie, a ja za siebie. Żaden z nas nie ma prawa wypominać drugiemu ziomków ani przodków” i oświadcza: „Ja poczuwam się do odpowiedzialności za Jedwabne, za Radziłów, za to wszystko, co jeszcze się okaże”.

Czytałam w Żydowskim Instytucie Historycznym relację Menachema Finkelsztejna ze spalenia całej społeczności Żydów w Radziłowie. I tam – jak zeznawał – wykonawcami zbrodni byli Polacy. Brnęłam przez przeraża-

jące sceny gwałtów, bicia, wrzucania dzieci żywcem do płonącej stodoły, obcięcia piłą głowy żydowskiej dziewczyny i chciałam wierzyć, że to siła przerażenia kazała ocalałym wyolbrzymiać i wyostrzać.

Finkelsztein, próbując pojąć ten wybuch barbarzyństwa, pisał: „Ziarno nienawiści padło na dobrze użyźnioną ziemię, która była dobrze przygotowaną w przeciągu długich lat przez duchowieństwo. A chęć zdobycia żydowskich zysków i żydowskich bogactw jeszcze więcej zaostrzyła ich apetyty”.

Umawiamy się, że przyjadę do Skrodzkiego do Gdańska.

23 listopada 2000

Jak co roku w rocznicę śmierci Gai, żony Jacka Kuronia, która zmarła w stanie wojennym, gdy

Jacek był w więzieniu – zebrało się u niego grono przyjaciół. W rozmowach dominuje Jedwabne, nie tylko ze względu na obecność Janka Grossa u Jacka, ale i przez teksty Żakowskiego i Szaroty. Kuroń oburza się na Żakowskiego.

– Nienawiść – mówi Jacek – bierze się z czegoś innego: kiedy człowiek ma poczucie winy, którego sobie nie uświadamia. Gdzieś w środku wie, że wymordowano tu naród, a on z tego skorzystał, bo ma pożydowski dom, albo chociaż poduszkę. Nie chce się z tym zmierzyć i nienawiść w nim rośnie.

24 listopada 2000

W Instytucie Historii pan zebranie Pracowni Dziejów Inteligencji zorganizowane przez profesora Jerzego Jedlickiego na temat książki

Grossa. Na sali ponad sto osób, większość to historycy. Od progu wyczuwa się ładunek emocji rzadko spotykany na zebraniach naukowych.

Tomasz Szarota referuje stan wiedzy o Jedwabnem. Przytacza kolejne publikacje poświadczające, że w Jedwabnem działało komando Białystok pod kierownictwem Birknera z warszawskiego getta. Tylko że źródło jest tak naprawdę jedno – prokurator Monkiewicz, który powtarzał to po wielekroć przy każdej nadarzającej się okazji, jak na przykład dwustupięćdziesięciolecia nadania praw miejskich Jedwabnemu.

Gross wprowadza odmienny ton. Mówi ostro, bezpośrednio, ironicznie. Przypomina Szarocie o spotkaniu w maju z udziałem historyków, przedstawicieli Ministerstwa Spraw Za-

granicznych i gabinetu premiera. Monkiewicz oświadczył tam, że latem 1941 roku na Białostocczyźnie Polacy nie mordowali Żydów ani w ich mordowaniu nie pomagali, i był tylko jeden taki przypadek, kiedy Niemcy zmusili Polaków, by chwycili się za ręce, tworząc łańcuch uniemożliwiający Żydom ucieczkę.

– Uznałem, że panu prokuratorowi można podziękować – mówi Gross. – Źle się dzieje, że Tomasz Szarota swym autorytetem naukowym uwiarygodnia bałamutną wersję jedwabieńskiej tragedii, wprowadzając tezy Monkiewicza w wielonakładowy obieg. Rozmawialiśmy o tym, Tomku – zwraca się wprost do Szaroty – mówiłem ci, że obecność Birknera w Jedwabnem to wymysł i żebyś dał sobie spokój z Monkiewiczem.

Po tym jak kolejne osoby zwracają uwagę na warsztatowe niedociągnięcia książki Grossa, do mikrofonu podchodzi Marek Edelman.

– Tu każdy chciałby znaleźć coś na dowód, że Gross to marny historyk, bo się pomylił i tego pana zabili wcześniej, a tamtą panią później. Ale nie o to chodzi. Jedwabne ani nie było pierwsze, ani odosobnione. W Polsce była wtedy atmosfera do zabijania Żydów. I nie chodziło o grabież. W człowieku jest coś takiego, że lubi mordować.

Głos zabiera Jedlicki:

– Jacek Żakowski myli się, przypisując etniczne emocje jakiejś przedkulturowej naturze. Etniczne emocje są fundamentalną mapą kulturową nowoczesnych społeczeństw europejskich. Nienawiść do Żydów, pogarda i śmiech to część dwudziestowiecznej kultury środ-

koweuropejskiej, w tym polskiej. Nie chcę przez to powiedzieć, że każdy był gotów do zbrodni. Ale zagładzie Żydów towarzyszyła uciecha znacznej części ich polskiego otoczenia. Tę uciechę, ten śmiech, który towarzyszył Zagładzie, pamiętam, bo byłem wtedy po drugiej, aryjskiej stronie muru. Do dziś naszą postawą, moją też, była ucieczka od tego tematu, tchórzliwy lęk przed tym ciemnym, co się czai w naszej zbiorowej historii. Gross *Sąsiadami* i wcześniejszą *Upiorną dekadą* budzi nas z otępienia. I to najważniejsze. Cała reszta to szczegóły, a diabeł w Jedwabnem czy Radziłowie tkwi nie w szczegółach, lecz w generaliach.

Spotkanie trwa niemal pięć godzin, momentami przypomina psychodramę. Alina Skibińska pracująca dla Muzeum Holokaustu

w Waszyngtonie, mówiąc o morzu nienawiści do Żydów, z którą styka się w materiałach archiwalnych i na co dzień w swojej pracy, wybucha płaczem.

Pod wieczór dzwonią do mnie: Marek Edelman – że wyszedł ze spotkania chory (w przerośni) i Hanna Krall – że wyszła chora (dosłownie – trzydzieści osiem stopni). Zmierzyłam temperaturę – wariant drugi.

25 listopada 2000

Wśród mieszkańców Jedwabnego nie znalazłoby się tyle osób gotowych zabijać, gdyby nie czuli wsparcia u innych podobnie myślących i u autorytetów – pisze w „Gazecie” profesor psychologii Krystyna Skarżyńska. Przytacza badania Janusza Grzelaka i Bogdana Wojciszke, że Polacy traktują narodowe cierpienia

jako rodzaj specjalnego wkładu czy inwestycji, za które należy im się od świata więcej niż innym. „Uważamy się za wyjątkowych, przypisujemy sobie moralne zasługi i szczególny wkład w losy świata. Badania wykazują, że ludzie tak myślący szczególnie łatwo akceptują zabijanie niewinnych”.

U Jacka Kuronia z Joasią Szczęsną, z którą często pracuję w tandemie. Ostatnie pytania do portretu jego żony Gajki, który przygotowujemy do wigilijnego numeru „Gazety”. Relacjonuję mu spotkanie w PAN-ie. Jacek zapamiętał to samo co Edelman: społeczny klimat przyzwolenia na szykanowanie Żydów. We Lwowie widział na własne oczy, jak młodzi ludzie rzucali kamieniami w stronę getta i nikogo to nie oburzało, naokoło słyszał tę

samą śpiewkę, jak to „Hitler robi za nas dobrą robotę”.

– Tego nawet Holokaust nie zmienił – mówi Jacek. I opowiada, jak latem 1945 roku mieszkał w Krakowie z rodzicami, dziadkami i młodszym bratem Felkiem. Któregoś dnia na spacerze dziadek ciągnął Felka za rękę i ten się rozplakał. Zaraz zebrał się tłum, który szarpał i wyzywał starszego pana. Uznano, że jest Żydem, a chłopczyk polskim dzieckiem, które ma być przerobione na macę. Tylko dlatego że Felek był blondynkiem, a dziadek nosił czapkę. Niedługo później w Krakowie był pogrom.

– Nie zgadzam się z Żakowskim – ciągnie Jacek. – Z niepoczuwania się do odpowiedzialności jak świat światem nic dobrego nie wyszło.

5 grudnia 2000

List Kazimierza Laudańskiego do Adama Michnika. Starszy brat Jerzego i Zygmunta, skazanych w 1949 roku na piętnaście i dwanaście lat za udział w mordzie na jedwabieńskich Żydach, przedstawia swoją wersję wydarzeń. Niemcy są w niej głównymi aktorami, za to Żydzi-komuniści „razem z NKWD układali listy zaplanowanych rodzin do wywiezienia na Sybir”.

Narzuca się pytanie: jeśli przyjąć, że zbrodnia jest dziełem niemieckim, co ma do rzeczy, że Żydzi wydawali Polaków w ręce NKWD?

Kazimierz Laudański, protestując przeciw szkalowaniu braci, wychwala patriotyzm rodziny: „Marszałek Piłsudski otaczał się oficerami o nazwisku Laudański”. I dalej: „Wśród młodszego pokolenia naszych dzieci i wnuków

jest wielu nauczycieli, inżynierów i lekarzy, w kraju i za granicą, a dwoje posiada najwyższe tytuły naukowe”. Kończy słowami: „Zawsze byliśmy i jesteśmy gotowi służyć krajowi... *pro publico bono*”.

Wśród dokumentów ze sprawy sądowej przeciw uczestnikom zbrodni Jan Gross znalazł list Zygmunta Laudańskiego, w którym ten pisze do władz więziennych o swoich kontaktach z NKWD, o wstąpieniu do ppr, o tym, że „właśnie na takich ramionach może się opierać nasz ustrój robotniczy”. Grossa uderzył „nieugięty konformizm tego człowieka, który próbuje antycypować oczekiwania wszystkich kolejnych reżimów epoki pieców i angażuje się za każdym razem na całego – najpierw jako konfident NKWD, później morderca Żydów, wreszcie wstępując do ppr”.

Z relacji Szmula Wasersztejna: „Rozkaz zniszczenia wszystkich Żydów dali Niemcy, ale polscy chuligani podjęli go i przeprowadzili najstraszniejszymi sposobami. W czasie pierwszych pogromów i podczas rzezi odznaczyli się okrucieństwem niżej wymienieni wyrzutki: [...]”. Wśród kilkunastu przytoczonych nazwisk jest nazwisko Jerzego Laudańskiego.

Tego już chyba dla Michnika za wiele. Embargo przerwane. Jadę do Pisza na rozmowę z Laudańskim.

8 grudnia 2000

Przygotowujemy z Joasią Szczęsną wywiad z Jeremim Przyborą do „Gazety”. Rozmawiamy o piosenkach Starszych Panów, ale moje myśli krążą wokół Jedwabnego. Przypominam sobie *Przymknięte oko opaczności*, gdzie Przyb-

ora wyznał, iż należał przed wojną do jednej z korporacji studenckich, która co prawda stroniła od burd ulicznych, ale jej członkowie wygłaszali żydożercze przemówienia. Przyborę odwiedził kiedyś przyjaciel Alek Nadelman, utalentowany matematyk, który z powodu *numerus clausus* nie dostał się na politechnikę. Kiedy zauważył jego dekiel – znak korporacji – pożegnał się chłodno i wyszedł. „Nigdy już ani nie zadzwonił do mnie, ani ja do niego – pisał Przybora. – Nie zadzwoniłem nawet wtedy, kiedy zaczęło się wysiedlanie Żydów do getta. I kiedy czytam dziś o dominującej wśród Polaków obojętności wobec Zagłady, czuję na sobie wskazujący palec tego oskarżenia”.

Poruszył mnie tym wyznaniem i wyobraziłam sobie, jak zwierza się z tego drugiemu Starszemu Panu. Wiedziałam, że Jerzy Wa-

Wasowski przechował się w czasie wojny jako kopietysta polskiego w majątku rodziny babci mojego przyjaciela Grzegorza Przewłockiego. Wasowski pochodził z zasymilowanej rodziny i jego ojcu, znanemu dziennikarzowi, tropicieli obcości wypominali przed wojną, że w młodości nazywał się Wasserzug.

Pytam Przyborę, czy konfrontował swoje doświadczenie jako Polaka właściwego pochodzenia z doświadczeniem Wasowskiego, któremu pewnie w latach trzydziestych nieraz boleśnie dawano do zrozumienia, że jest w Polsce intruzem.

– Wasowski nigdy ze mną nie poruszał tego tematu – wyjaśnia Przybora.

9 grudnia 2000

Pisz, siedemdziesiąt kilometrów na północ od Jedwabnego. Kazimierz Laudański czeka na mnie u wylotu uliczki prowadzącej do jego domu. Nim doszliśmy, zdążył mnie odpytać, z jakich okolic pochodzą moi rodzice i jakie było nazwisko rodowe matki. Mama miała całkiem porządne nazwisko panieńskie i imię też jak trzeba. Przynajmniej od momentu, kiedy zakochany w niej Polak wyrobił jej aryjskie papiery, łącznie ze świadectwem chrztu, i ożenił się z nią. W ten sposób w 1942 roku we Lwowie zniknęła Lea Horowicz. Zniknęła tak bardzo, że o swoim pochodzeniu dowiedziałam się jako całkiem dorosła osoba. Przypadkiem, na ulicy.

Moja mama nie utrzymywała kontaktów z rodziną, w naszym domu nigdy nie pojawił

się żaden wujek czy kuzynka. Przyjęłam za coś naturalnego, że mama, typ osoby niezależnej i zbuntowanej, rodzinne więzi i spotkania uważa za nudny, mieszczański obowiązek, któremu nie zamierza się poddawać. Dopiero jako dorosła osoba, po studiach, poznałam na naszej działce nad Zalewem pana, lat koło pięćdziesięciu, którego mama przedstawiła mi jako syna swej ukochanej siostry, zamordowanej w Związku Radzieckim w 1937 roku. Byłam z przyjaciółmi, przywitałam się i pobiegliśmy nad wodę. Minęło kilka lat, nim spotkałam go po raz drugi. Zagadnęłam go, że jest jedynym znanym mi krewnym ze strony mamy i czy może coś wie o naszej wspólnej rodzinie. „Nasz dziadek Hirsch Horowicz...” – zaczął mój kuzyn Olgierd Wołyński.

Obdzwaniałam przyjaciół i znajomych z mojego telefonicznego notesu, systematycznie od A do Z. „Jestem Żydówką” – obwieszczałam. Jakoś na nikim – poza mną – fakt ten nie robił specjalnego wrażenia. Tylko jeden znajomy, doradca „Solidarności”, spotkał się ze mną i zasugerował, żeby w redakcji „Tygodnika Mazowsze”, pisma podziemnej „Solidarności”, które współtworzyłam – był rok 1982 – nie przyjmować już osób o takim pochodzeniu. „Już i tak przeważacie i jak was posadzą, to może zaszkodzić sprawie” – mówił, zresztą w dobrej wierze i z troską, nie przeciwko mnie. Największym szokiem było uprzytomnienie sobie, że niemal wszyscy moi przyjaciele wiedzieli. Choćby stąd, że matka jednego z nich chodziła przed wojną do jednej klasy z moją mamą w renomowanym gimnazjum dla

żydowskich panienek z dobrych domów. „Dlaczego nikt mi tego nie powiedział?” – dopytywałam się. Jeden był przekonany, że ja wiem, tylko postanowiłam udawać stuprocentową Polkę (wypytywałam go wielokrotnie, jak to jest być Żydem). Drugi uznał, że decyzja o ujawnieniu mego pochodzenia należy do mojej matki (przyjmował oczywiste dla niego założenie, że bycie Żydem jest czymś wstydliwym, co się „ujawnia”). Trzeci doszedł do wniosku, że jak nie wiem, to dla mnie lepiej.

Kazimierz Laudański zaprasza do domu. Zadbana willa w centrum miasta, na stole elegancka zastawa. Przygotował mi plan miasta z 1941 roku, nakreślony na papierze w kratkę. Nazwy ulic, kościół, cmentarz – granatowym długopisem, synagoga i stodoła – czerwonym.

– Ci, co stanęli przed sądem po wojnie, to zwykli ludzie, którzy zostali w to wpłątani. Może któryś Żydowi-komuniście napluł czy go uderzył. Nie ma co tego usprawiedliwiać, ale z drugiej strony to normalna rzecz – tłumaczy.

O zbrodni w Jedwabnem mówi, że był niemiecki rozkaz. Gdy pytam, ilu było Niemców, dowiaduję się, że na każdej z rogatek miasta stał Niemiec w mundurze. Proszę go o wskazanie na planie miasta, który mi sam narysował, gdzie stali. Zaznacza cztery krzyżyki. Czterech Niemców!

– Żydzi w Jedwabnem, czy byliby wtedy spaleni, czy nie, ich los był i tak przeznaczony – stwierdza Kazimierz Laudański. – Niemcy by ich prędzej czy później wybili. Sprawa taka mała, a wlepia się w nią Polaków, i akurat moich braci. My darowaliśmy gestapo,

darowaliśmy NKWD, a tu mały spór między Żydami i Polakami i nikt nie daruje? Mnie nie chodzi o obronę braci – tłumaczy mi dalej. – Oni, słusznie czy nie, byli osądzeni i drugi raz nie można ich za to samo skazać. Spotykam się po to, aby pani przekazała panu Michnikowi, że nie należy drapać ran bezpotrzebnie. Robienie z naszego narodu zbrodniarzy nie jest celowe. To podłość takie rzeczy Polakom zarzucać. I nie jest na czasie prowadzenie kampanii pouczającej Polaków, kiedy finansjera żydowska atakuje Polskę.

Umawiamy się na następne spotkanie, mają być na nim również Zygmunt i Jerzy. Kazimierz Laudański czuje się pewny siebie, oświadcza, że jest otwarty na kontakty z prasą, przekazuje przeze mnie Agnieszce Arnold, która pracuje nad filmem o Jedwabnem, że są

gotowi spotkać się z nią i bronić swoich racji przed kamerą.

10 grudnia 2000

Kazimierz Mocarski napisał list do „Gazety”. Emerytowany dyrektor szkoły, z wykształcenia historyk, urodził się we wsi kilka kilometrów od Jedwabnego, teraz mieszka w Stegnach na Żuławach. To tam jadę go odwiedzić.

W liście opisał przedwojenne Jedwabne: „Czasy były ciężkie, liczył się każdy grosz. Bogatsze sklepy żydowskie mogły sobie pozwolić na niższą cenę. Reakcją Polaków było przewracanie straganów i wybijanie szyb. Antyżydowskie jady, mity, że Żydzi zamordowali Chrystusa, spowodowały, że grupa ludzi oszalała z nienawiści”.

Miał wtedy czternaście lat. Pamięta, że dwa dni przed zbrodnią przechodziła koło ich domu grupa Żydów.

– Matka piekła chleb razowy i dała im dwa bochenki. „Uciekajcie jak najdalej”, przestrzegła, bo już było wiadomo, że poprzedniego dnia w Radziłowie spalono Żydów.

Część mieszkańców ich wioski zaprzęgała konie i pojechała do Jedwabnego z nadzieją, że rozgrabią żydowskie sklepy i warsztaty, a z kolei z Jedwabnego uciekło do rodzin na wsi parę osób, które nie chciały uczestniczyć w pogromie.

„Żydów w Jedwabnem spalili” – powiedziała mu matka, gdy wrócił z sianokosów. Kilka dni później zaprosił go kolega, który chciał się pochwalić, że jego rodzina zajęła mieszkanie po Żydach. Słuchał, jak przed spaleniem byli

bici, jak ich popychano, kazano odmawiać pacierz.

– Jeżdżę czasem do Jedwabnego – opowiada dalej. – To nieszczęśliwe miasteczko, zacofane, bez infrastruktury. Nie ma pracy, ludzie są przygniecenii, sami czują się ofiarami. Jedno z haseł endecji brzmiało, że Żydzi są przyczyną biedy. Dziś Żydów nie ma, a nędza jak była, tak jest.

Z Agnieszką Arnold, którą zabrałam ze sobą, żeby sfilmowała Mocarskiego, wracamy do Warszawy okrężną drogą – przez Jedwabne. Arnold prowadzi mnie do Działkow. O Leonie Działku przeczytałam w reportażu Andrzeja Kaczyńskiego w „Rzeczpospolitej”. Z opowieści Działka wynikało, że Polacy byli nie tylko wykonawcami, ale też inicjatorami mordy: „Opowiadano, że komendant

posterunku żandarmerii zrobił nazajutrz awanturę Polakom dowodzącym pogromem: »Nastawaliście, że zrobicie porządek z Żydami, ale wy porządku zaprowadzić nie umiecie«”. „Chodziło mu o to – tłumaczył Dziedzic – że nie pogrzebali szczątków, i on bał się, żeby jakaś zaraza się nie wywiązała, bo były upały i już psy się do nich dobierały”.

Ale Leona Dziedzica nie ma w Polsce. Od ukazania się reportaży w „Rzeczpospolitej” i regionalnej „Gazecie Współczesnej” – gdzie na dokładkę dał się sfotografować – co podjechał pod sklep rowerem, ktoś przebijał mu opony. Wyjechał do Stanów, gdzie od wielu lat mieszka jego żona i czterech synów. Zastajemy Leszka Dziedzica, piątego syna, który został na gospodarstwie.

Tej jesieni był akurat z wizytą w Stanach, a żona z dziećmi, dziesięcioletnim Tomkiem i czternastoletnim Piotrkiem, została w Polsce.

– Wróciłem z Ameryki wcześniej, bo bałem się o żonę i dzieci. Na dzień dobry usłyszałem: „Nie podskakuj, bo się już na ciebie szykują”. To może być wszystko przypadek, i z tatą, i z moim synem, ale o dzieci się boimy. Odprawiamy je i przyprowadzamy ze szkoły.

Jedziemy do Janiny Biedrzyckiej, córki właściciela stodoły, w której spalono Żydów. Broni się przed wpuszczeniem ekipy filmowej do mieszkania. Zostaję z kamerzystą i dźwiękowcem w samochodzie, a Arnold prowadzi pertraktacje. Wcześniej bywało, że Biedrzycka nie chciała jej wpuścić, ale kiedyś oznajmiła: „Myślałam, że pani żydowica, a ksiądz mi powiedział, że pani ewangeliczka. Wśród

Niemców to bywali porządne ludzie”. Reportera „Gazety Pomorskiej” Adama Willmę Biedrzycka przywitała słowami: „Dokument jakiś pan ma? A nazwisko nie jest polskie. Tak czy owak, mnie obojętne, wszyscy słuchają Żydów, nikt nie chce znać prawdy”.

Po jakiejś półgodzinie Arnold daje znać, że możemy wejść.

– Są w Jedwabnem domy żydowskie, ja jestem na swoim – zaczyna Biedrzycka. – Ja nic z tego nie miałam. Ja wiem, jakie mściwe są Żydy.

Kiedy wymawia słowo „Żyd”, jej głos nie schodzi poniżej krzyku. W ogóle jej głos jest napastliwy i świdrujący. O zbrodni mówi, że to była robota Niemców. By za chwilę dodać:

– Jak weszli Ruskie, to przystali do nich Żydzi i donosili. I tak Ruskie zabili stryjenkę Lau-dańskich, więc ci się mścili.

12 grudnia 2000

Spisuję notatki z rozmowy z Kazimierzem Mocarskim. Pojawia się w niej wujek, nadkomisarz policji, który stawał w obronie mniejszości, wysyłał posterunkowych, żeby rozpędzali narodowców, gdy ci wszczynali rozróbę, przewracając żydowskie stragany. Wujek był piłsudczykiem i robił to w przekonaniu, że broni ojczyzny, a potem uratowało mu to życie, bo gdy przyszli Sowieci, Żydzi zebrali podpisy, żeby nie wysłali go na Sybir. Ciekawa jestem, czy to przypadkiem nie ta sama osoba, o której wspomina w *Jedwabieńskiej księdze pamięci* Yona Rothchild (na przełomie lat

dwudziestych i trzydziestych członek rady miejskiej w Jedwabnem) – Bielecki, szef policji z Jedwabnego. Był tak przyzwoity, że za jego rządów nie było w mieście antysemickich ekscesów.

Dzwonię do Mocarskiego. Ustalamy, że wuj skojarzył mu się z Jedwabnem, ale pracował gdzieś na Białorusi. Mocarski jest niełatwym rozmówcą – po wylewie ma kłopoty z pamięcią, a kiedy zaczyna mówić, trudno mu przerwać, bo popada w dygresje. Czuję, ile pułapek czeka mnie przy uruchamianiu w ludziach pamięci o zdarzeniach sprzed lat.

Gross pisze w *Sąsiadach*, jak dobrze układały się przed wojną stosunki między Polakami i Żydami w Jedwabnem, powołując się na udostępnioną mu przez Arnold rozmowę z miejscowym aptekarzem: „Wszyscy do siebie

tu mówili po imieniu, Icek, Janek, to było raczej takie sielankowe życie tutaj”. Tymczasem Mocarski opowiadał mi, jak działacze narodówki łomami rozwalali żydowskie stragany i jak dla towarzystwa dołączali ludzie z jego wsi, choć do narodówki nie należeli.

Z *Jedwabieńskiej księgi...* wynika, że Żydzi w Jedwabnem mieli dobre układy z księdzem, ponieważ dostarczali mu po dobrej cenie materiały na budowę kościoła. Rotszyld, który handlował artykułami żelaznymi i był jedynym ich dostawcą w okolicy, opisuje takie zdarzenie: W Radziłowie miał miejsce pogrom, gdzie zginęli także Polacy, postrzeleni przez policję, i zaistniała obawa, że uroczystości pogrzebowe jednego z nich (miał być pochowany w Jedwabnem, bo jego wieś należała do tej parafii) staną się zarzewiem kolejnego pogromu. Rot-

szyld udał się z interwencją do proboszcza, a gdy ksiądz próbował wyłgać się argumentem, że od porządku jest nie Kościół, tylko policja, Rotszyld miał zapytać: „Czy chce ksiądz, żeby mnie zamordowali tymi samymi prętami, które sprzedałem księdzu na budowę świątyni?!”. I ksiądz dał się przekonać. Nie wystawił zwłok trzy dni wcześniej w kościele i odwołał kondukt żałobny. W zamian Żydzi zobowiązali się nie wychodzić z domów zarówno podczas pogrzebu, jak i później, przez całe Świąta Wielkanocne. Na pogrzebie ksiądz ze łzami w oczach apelował o powstrzymanie się od pogromów i przelewu niewinnej krwi. Kilka tygodni później zapobiegł jeszcze jednemu nieszczęściu. Przed dorocznym jarmarkiem przyszła do niego grupa przyjezdných chuliganów z prośbą o błogosławieństwo, czy też

dyspensę, aby mogli sobie „poswawolić z Żydami”. Ksiądz zaprowadził ich do karczmy, gdzie kazał karmić na swój koszt, ile tylko zapragną. Zabronił podawania im alkoholu i polecił po nakarmieniu natychmiast odwieźć ich tam, skąd przyjechali.

13 grudnia 2000

Telefon do Leona Dziedzica do Ameryki. Pytam o braci Laudańskich.

– Osobiście ich 10 lipca nie widziałem, bo mama nie pozwoliła nam wychodzić z domu. Ale słyszałem od takich, którzy widzieli, że brali czynny udział.

15 grudnia 2000

Odwiedzam mego kuzyna Olgierda Wołyńskiego. Oleś książką Grossa nie jest zaskoczony. Mordowanie Żydów przez sąsiadów – Litwinów, Ukraińców, Polaków – było wpisane w możliwy scenariusz zdarzeń.

Matka i ojciec Olesia byli przed wojną działaczami komunistycznej międzynarodówki i pierwsze lata życia Oleś spędził w Moskwie. Gdy rodzice stali się ofiarami Wielkiej Czystki – rozstrzelano oboje w 1937 roku – trafił do domu dziecka, stamtąd do więzienia na Łubiance, wreszcie do łagru (jego losy opisała w *Głosie z Gułagu* Ewa Berberysz).

– Na Syberii nie zetknąłem się z antysemityzmem – mówi. – Pierwszy raz antysemickie teksty usłyszałem w 1954 roku, jeszcze w Związku Radzieckim, w Mińsku. W szpitalu,

do którego tam trafiłem, pielęgniarki rozmawiały nad moją głową o koleżance, która wychodziła za Żyda: „Ja to bym się wyrzygała, jakbym miała iść z Żydem do łóżka”. Po repatriacji do Polski w 1958 roku w związku z gruźlicą pojechałem do Zakopanego, do domu wczasowego dla milicjantów. Tam zetknąłem się z tym samym żywiołowym, namiętnym, fizjologicznym antysemityzmem. Powtarzano brednię, jak to szef orkiestry Polskiego Radia, który emigrował z Polski, chciał nielegalnie wywieźć kosztowności, więc kazał odlać patelnię ze złota, ale że za bardzo się świeciła, usmażył na niej jajecznicę i zapakował brudną. Celnikowi brudne naczynie wydało się podejrzane. W tej opowieści było wszystko: że Żydzi mają złoto, są cwani i niechlujni.

Oleś, który ma zwyczaj prowadzenia rozmów za pośrednictwem książek, wyciąga ze swojej przepastnej biblioteki *Tarasa Bulbę* Gogola po rosyjsku i zaczyna tłumaczyć *a vista* kawałek o karczmarzu Jankielu: „Stopniowo położył łapę na wszystkich okolicznych panach i szlachcicach, wyssał pomału całe ich pieniądze i mocno zaznaczył swą żydowską obecność w tym kraju. W którą stronę nie rzucisz okiem – na odległość trzech mil nie zobaczysz ani jednej porządnej chałupy, wszystko się rozpada, wszystko zrujnowane, wszystko przepite”. – To jest tło, na którym Gogol opisuje kozackie rzezie, palenie żywcem, wrzucanie niemowląt do ognia, rżnięcie piłą. Tak właśnie postrzegano Żydów i w Rosji, i w Polsce, a karmiony tego typu opowieściami lud skory był do urządzania pogromów.

Znów sięga na półkę i podaje mi *Dziennik z lat okupacji* Zygmunta Klukowskiego. Już pytałam o tę książkę w kilku antykwariatach, wspomina o niej Gross, Adam Michnik wymienił ją na długiej liście lektur, które powinnam przeczytać do tekstu o Laudańskich. Klukowski, lekarz i działacz społeczny na Zamojszczyźnie, dyrektor szpitala w Szczebrzeszynie, w czasie wojny codziennie prowadził notatki. Opisał zachowanie Polaków podczas akcji likwidacyjnej Żydów 22 października 1943 roku: „Gorliwie pomagali, wyszukiwali Żydów, pędzili ich do magistratu lub na posterunek, bili, kopali.

Chłopcy uganiali się za małymi dziećmi żydowskimi, które policjanci zabijali na oczach wszystkich. Wciąż stoją mi przed oczami bici pojedynczy Żydzi, grupy prowadzonych na

śmierć i trupy rzucone byle jak na furmanki, posiniaczone, pokrwawione. Sporo mieszkańców miasta bez żadnego wstydu rabowało, co się tylko dało”.

16 grudnia 2000

Jadę do Pisza na spotkanie z Laudańskimi. Wybieram nieco dłuższą drogę, przez Łomżę, żeby przejechać – po raz pierwszy za dnia – przez Jedwabne. Kilometry otwartej przestrzeni, gdzieniegdzie rzadkie kępki drzew – płaski mazowiecki krajobraz uświadamia mi, jak nikła musiała być nadzieja, że uda się skryć przed oprawcami. Co prawda teraz jest zima, wtedy był lipiec, w polu stało niezżęte zboże.

Gdy wjeżdża się do miasteczka od strony Łomży, widać zachowane fragmenty żydowskiego sztetlu. Jego klimat najlepiej oddaje

zaulek przy Starym Rynku, z wąskim przejściem między domami i zdartym brukiem. Drewniane, przycupnięte przy ziemi domki, okna niziutko, wszystko maleńkie, wielkie są tylko kałuże topniejącego śniegu. Wystarczyłoby na drzwiach zawiesić chroniące przed złymi mocami mezuzy z fragmentami Księgi Powtórzonego Prawa i można by kręcić film o wydarzeniach sprzed sześćdziesięciu lat.

Chodzę po rynku – dziś placu Jana Pawła II, na który tamtego lipcowego dnia spędzono Żydów. Z planem, który dostałam od Kazimierza Laudańskiego, jadę na miejsce zbrodni. Teren ogrodzony, napis na kamieniu: „Miejsce kaźni ludności żydowskiej. Gestapo i żandarmeria hitlerowska spaliła żywcem 1600 osób 10 VII 1941 roku”. Po drugiej stronie gęste krzaki, ale na mapce mam zaznaczone, że to teren cmen-

tarza żydowskiego. Wchodzę głębiej i widzę, że spod śniegu wystają połamane macewy.

W Piszcu bracia Laudańscy już czekają. Siedzimy naprzeciw siebie, pijemy herbatę, jemy piernik domowego wypieku. Kazimierz Lau-dański i jego bracia to znani w okolicy pszczelarze, klienci przyjeżdżają aż z Niemiec po miód. Bracia, postawni, spokojni, dobrze się prezentujący, mówią swoje kwestie niczym wyuczoną lekcję.

Przypominam sobie słowa świadka z procesu: „Leciał ulicą Laudański Jerzy, zam. Jedwabne, który to powiedział, że już dwóch czy trzech Żydów zabił”.

Jest już czwarta godzina rozmowy i bodaj trzeci kawałek piernika, kiedy przechodzimy do okupacji niemieckiej. 10 lipca 1941 roku Zygmunta Laudańskiego wezwał burmistrz

Karolak, rządzący wtedy miastem, aby zreperował mu piec. Jerzy stał pod stodołą, ale oddalony o trzydzieści metrów, przed nim – jak twierdzi – stało wiele innych osób.

Ile mogło być tych osób wokół stodoły? I ilu wśród nich ograniczało się tylko do patrzenia?

Jerzy Laudański opowiada, jak to Karol Bardoń (jeden z oskarżonych w powojennym procesie o zamordowanie Żydów w Jedwabnem) zgłosił się do władz więziennych, że chce zeznać, kto wtedy brał udział w spaleniu Żydów.

– Wiem to od sanitariusza więziennego. Bardoń się odgrażał, że sto osób wsadzi za kratki, a jak dali mu papier i miał zrobić listę, władzę w rękach mu odjęło i mowę, i tak zmarł w więzieniu. „Cud się stał”, komentował ten sanitariusz.

Czy to znaczy, zastanawiam się, że Bardoń mógł wskazać z imienia i nazwiska stu sprawców? Ale nie zadaję prowokacyjnych pytań.

– My nic do Żydów nie mamy, ale dajcie spokój temu rozdrapywaniu ran – ostrzega na pożegnanie Kazimierz Laudański. – A co Żydzi wyprawiali po wojnie w UB? Szkoda mówić, to hańbiące, więc po co sobie nawzajem wypominać?

Słucham ich i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pod ich powiekami rozgrywają się od nowa tamte sceny. Mam zarezerwowany w Piszku hotel, ale decyduję się wracać nocą do domu. Jadę kompletnie pustą, oblodzoną drogą, byle jak najdalej od Laudańskich.

17 grudnia 2000

Gdańsk. Jan Skrodzki przyjeżdża po mnie na dworzec i wiezie do zadbanego mieszkania w bloku, na skarpie pod lasem, gdzie wita mnie wielki kudłaty pies imieniem Czacza i nalewka domowej roboty. Przygotował „szkic orientacyjny tej części Radziłowa, gdzie dokonano zbrodni”, zaznaczając na papierze milimetrowym odległości. Oznaczenia: „Dom rodzinny, z którego widziałem, co działo się na rynku, oraz kolumna Żydów prowadzona do stodoły”, „Droga krzyżowa Żydów”, „Stodoła, w której dokonano zbrodni”.

– To nie Niemcy tego dokonali, ale nasi – zaczyna.

Daję mu świadectwo Menachema Finkel-sztejna, które skserowałam w ŻIH-u. Opisane tam sceny są tak porażające, że trudno sobie

wyobrazić, by tak mogła wyglądać polska pamięć. Skrodzkiego jednak nic nie dziwi – przeciwnie, precyzuje, uzupełnia. Czytam mu, jak od początku Polacy dołączali do akcji Niemców znęcania się nad Żydami. Zaprzęgniętych do furmanek ludzi zagnano nad bagnistą rzekę koło miasteczka. „Biją Niemcy, biją Polacy. U Żydów płacz i trwoga, a u nich, Niemców i Polaków, radość”.

– Chodzi o Matlak, wąską, płytką strugę – wyjaśnia. – Wzdłuż Matlaka szła łąka, tam gospodarze prowadzili gęsi i kaczki, a pomiędzy strugą a zabudowaniami przy ulicy Nadstawnej była ziemia torfowa i kanały po wykopanym torfie. Tam właśnie zaganiano Żydów.

Jest gotów pod swoim nazwiskiem opowiedzieć o zbrodni na łamach „Gazety”.

Rozmawiamy dziewięć godzin, ale nie śmiem zadać narzucającego się pytania: Gdzie był pana ojciec 7 lipca 1941 roku?

18 grudnia 2000

Składałam podanie do Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie o udostępnienie mi akt śledztwa przeciwko osobom oskarżonym w 1949 roku o mordowanie Żydów w Jedwabnem.

20 grudnia 2000

Pisz. Jestem umówiona w miejscowym muzeum z Mieczysławem K., jego emerytowanym dyrektorem, który w 1941 roku był nastolatkiem. Dochodziłam do niego sznureczkiem, kierowana od jednej osoby do

drugiej. Miał mi przybliżyć sylwetki Laudańskich, ponoć wiele mógłby o nich powiedzieć, sam pochodzi z Jedwabnego, ale kiedy się spotykamy, jest tak zdenerwowany, że niewiele udaje mi się z niego wydobyć. Specjalnie mu się nie dziwię. W muzeum czeka na nas bowiem – niby przypadkiem – wnuczka jednego z Laudańskich. Jak i od kogo dowiedziała się o naszym spotkaniu? Najwidoczniej w tym sznureczku znalazł się ktoś, kto zawiadomił Laudańskich. Mieczysław K. tłumaczy się, dlaczego nie chce ze mną rozmawiać:

– Może ten strach stamtąd wyniosłem, ale też dziś koledzy mnie ostrzegali przed rozmową z panią: „Ty lepiej się do tego nie płacz”.

Wspomina, że latem 1941 roku z chłopakami chodził po żydowskich domach.

– Wszystkie były zajęte i rozgrabione, ale ja szukałem tylko takich blaszek, które wisiały na framugach drzwi. Lubiłem rozwijać to, co było w nich w środku, na skórze, chyba baraniej, zapisane po hebrajsku słowa. Po wojnie, gdy założono muzeum w Pieszku, przekazałem im tamte mezuzy.

21 grudnia 2000

Mieczysław K. opowiedział mi, że miał w Zanklewie, niedaleko Jedwabnego, wujka, bogatego rolnika, który przechował żydowską rodzinę z sąsiedniej Wizny, za co po wojnie podpalono mu gospodarstwo. Podał mi jego nazwisko – wujek już nie żyje, ale żyją jego dzieci, które wtedy były na tyle duże, że muszą coś pamiętać.

Jadę tam. Zanklewo to wieś na uboczu, na drodze z Jedwabnego do Wizny. Zadbane, zasobne gospodarstwo, serdeczny gospodarz. Tak, prawda, jego rodzice przechowali krawca z Wizny, jego żonę i dwójkę dzieci. On sam miał wtedy kilkanaście lat i dobrze to pamięta.

– Schowani byli pod podłogą, koło pieca. Nikt o tym nie wiedział, dopiero po wojnie się rozniosło. W 1945 roku partyzanci z nsz pozabierali nam ubrania, krowy, świnie, popalili zabudowania. Zostaliśmy bez dobytku. To był czas, że kto miał się trochę lepiej, zaraz mu to bandy zabierały, więc pewnie myślano, że mamy żydowskie złoto. Ojciec zwrócił się do AK, ich ludzie udali się do tych z nsz, postraszyli, że wywiad mają dobry i rozwalą każdego, kto będzie nam dokuczać. Od tej pory był spokój. Ale biedy człowiek zażył niemało.

Za nsz był taki strach jak za Ruskiego czy Niemca, albo i gorszy.

Ten strach najwidoczniej wciąż istnieje, bo przy pożegnaniu mój rozmówca prosi, żebym nie wymieniała jego nazwiska.

Dostaję od niego domowy adres Mieczysława K. Spróbuję z nim jeszcze raz porozmawiać. Wracam pod Pisz. Mieczysław K. przyjmuje moją wizytę bez entuzjazmu, ale za oknami taka zamieć, że trudno mnie wygnać na dwór. W końcu, po trzeciej herbacie, zaczyna opowiadać:

– W 1941 roku miałem dwanaście lat. Niekóre matki nie wypuszczały tego dnia dzieci, ale ja byłem taki, że wszędzie nos wsadziłem. Gdy Polacy chodzili po domach i spędzali Żydów na rynek, słyszało się zewsząd krzyki i płacze, bo brali i dzieci, i starców. Z pałkami

ustawiali w szeregi Żydów, a ci nie stawiali żadnego oporu. Nie było ich tysiąc sześciuset, najwyżej tysiąc. Znalazłem się pod stodołą. Tłumu wielkiego wokół nie było, sami mężczyźni, może pięćdziesięciu. Z kolegami stałem trochę z boku. Strach był, że wezmą za żydowskie dziecko i wrzucą w ogień. Było słoneczne lato, wystarczyło trochę nafty i zapalki. Gdy podpalili stodołę, to krzyk trwał, aż się dach zawalił. Józef Kobrzyniecki wrzucał do płonącej stodoły dzieci. To widziałem na własne oczy. A słyszałem, że Kobrzyniecki przewodził tłumem, gdy Żydzi musieli nosić pomnik Lenina, i najbardziej bił, a jeszcze chodził po domach i ukrytych po strychach dorzynał bagnetem. Wymieniano też innych zbrodniarzy: Karolak, Laudańscy, Zejer. Gdy dorosłem, zaraz stamtąd wyjechałem i od tego

czasu nie chcę z tym miejscem mieć nic wspólnego.

Zastrzega tylko:

– Proszę pisać o mnie bez nazwiska, żyją Laudańscy, do Pizy jeżdżę na zakupy, spotkałem jednego z nich kiedyś na ulicy, mróz po krzyżu, na co mi to potrzebne.

22 grudnia 2000

Pracę nad książką postanawiam zacząć od Radziłowa, zanim jeszcze o zbrodni tam popełnionej stanie się tak głośno jak o Jedwabnem. Łatwiej mi tam będzie rozmawiać z ludźmi.

Jadę do Marianny Ramotowskiej z domu Finkelsztejn z Dziewięcina koło Radziłowa, uratowanej przez Stanisława Ramotowskiego. O ich istnieniu dowiedziałam się z reportażu

Kaczyńskiego. Trafiam do drewnianej, przykucniętej przy strumyku chałupy. Ramotowski od progu zapowiada, że nie będzie rozmawiać, ale jakoś udaje mi się wejść. Zaprosiłam Agnieszkę Arnold, która jest ze swoją ekipą filmową w Jedwabnem, by podjechała do Dziewięcina sfilmować moją rozmowę. Ramotowski początkowo się opiera, „bo ja tu żyję między ludźmi i mogą po mnie przyjść”, ale w końcu i na to się zgadza.

W środku przenikliwe zimno. Jego żona siedzi okutana w kilka swetrów. Malutka, wątłutka, w grubych szklach. Jeszcze mniej niż mąż chętna do rozmowy. Niedosłyszcy. Nie chodzi. To on robi mi herbatę. Zaczynamy rozmawiać, ale on co chwila się wycofuje.

– Żydów pędzili Polacy. Nawet jakbym wiedział kto, tobym za nic nie powiedział. Mnie nie wolno opowiadać. My tu chcemy żyć.

Albo:

– Nie powiem, w jaki sposób załatwiłem z księdzem ślub w czasie wojny, gdy poślubić chciałem Żydówkę. Choćby mnie pani końmi ciągnęła, nie opowiem, bo to rzeczy religijne.

– Nie mów, Stasinku, Boże broń – prosi trzymająca go za rękę żona.

Opowiadam jej, że czytałam w ŻIH-u relację Menachema Finkelsztejna z Radziłowa, pytam, czy to jej rodzina. Choć nazwisko to samo, Ramotowska twierdzi, że nie wie, o kogo chodzi. Nie brzmi to przekonywająco, wydaje mi się raczej, że przeraża ją wszystko, co przypomina jej o żydowskim pochodzeniu.

Kiedy zapowiadam, że przyjadę do nich znów po Nowym Roku, Ramotowski jest wyraźnie zadowolony. Wydaje się czuć osamotniony. Gdy go o to wprost pytam, odpowiada, że w Wąsoszu miał jedną zaprzyjaźnioną rodzinę, ona Żydówka, on Polak, po-
brali się w czasie wojny, ale już nie żyją.

28 grudnia 2000

W bibliotece czytam „Sprawę Katolicką”, regionalny tygodnik diecezjalny z lat trzydziestych. Temat Żydów jako największego zagrożenia dla Polski przywoływany jest tam obsesyjnie. Ta pogarda i płynąca z głębi serca uciecha, że z powodu bojkotu ekonomicznego w jakiejś wiosce Żydzi przymierają głodem – ścinają z nóg. Wiedziałam, że Kościół katolicki był przed wojną w przeważającej części anty-

semicki, ale co innego wiedzieć, a co innego czytać nienawistne teksty w kontekście późniejszej zbrodni.

Rozdział 1

Od Żydów Polskę racz oczyścić, Panie

czyli o stosunkach polsko-żydowskich
w Jedwabnem i okolicach w latach
trzydziestych



Przedstawienie organizacji chalucowej, przygotowującej do życia w Palestynie. Jedwabne, 1922 rok

Jest dziesiąty dzień tiszri 5699 roku albo wedle kalendarza gregoriańskiego 5 października 1938 roku. Jom Kipur, Sądny Dzień, największe żydowskie święto. Tego dnia wszyscy Żydzi idą do synagogi. Przez rynek ciągną tłumy.

Następnego dnia żadne dziecko żydowskie w Jedwabnem czy Radziłowie nie pójdzie do szkoły, a sklepiki żydowskie będą zamknięte aż do zmierzchu. Współmieszkańców katolickich nie widać, tego wieczora rozbrzmiewa wyłącznie jidysz. W Jedwabnem matka burmistrza, pani Grądzka, która za Żydami nie przepada, jak co roku stoi oparta o ścianę synagogi na ulicy Szkolnej, wzruszają ją bowiem ich pieśni. Przyszła wysłuchać swojej ulubionej *Kol Nidre*, modlitwy będącej formą rozgrzeszenia z przysięg zapomnianych, złożonych pochopnie lub pod przymusem.

Starsze dzieci idą do synagogi i uczestniczą w całodniowym poście, ale maluchy – w wielu domach jest po siedmioro, ośmioro dzieci – oddawane są na ten dzień do polskich sąsiadów. Dostają tam jajka na twardo lub mleko

prosto od krowy, piją je z własnego kubka – sąsiedzi respektują to, że żydowskie dzieci mają przestrzegać koszeru. Porozumiewają się z nimi bez problemu, jidysz to język, który słyszą na co dzień: w sklepie, na ulicy, pracując u Żydów. Niektórzy mówią nim całkiem biegle. W Jedwabnem włada dobrze jidysz Bronisław Śleszyński, ten sam, który odda stodołę do spalenia Żydów.

Jest 3 maja 1939 roku, wielka procesja eucharystyczna z okazji święta narodowego. W kościele chór śpiewa: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie / Od Żydów Polskę racz oczyścić, Panie”. Wierni, odświętnie ubrani, wychodzą z mszy, by wziąć udział w przygotowanej przez Kościół z udziałem miejscowych działaczy Stronnictwa Narodowego, potocznie zwanego narodówką, uroczystości. Procesja

przechodzi przez ulice wokół rynku, szpalerem po obu stronach idą dziewczynki w bieli, niosąc naręcza kwiatów, pomiędzy nimi mali chłopcy w komżach z dzwoneczkami, za nimi starsza młodzież należąca do Stowarzyszeń Młodzieży Katolickiej Żeńskiej i Męskiej; pochód, który zajmuje całą długość ulicy, zamykają dorośli. Towarzyszy mu orkiestra oraz banderia na rowerach. Na rynku, na schodach kościoła, przemawia zaproszony działacz z Łomży. Mówi o dzisiejszej Polsce, zdominowanej przez obcy element, i Polsce jutra, kiedy to naród wyzwoli się z niewoli międzynarodowej żydowskiej finansjery, a Polak będzie kupował tylko u Polaka. Ramię w ramię z gościem stoi ksiądz proboszcz, też działacz Stronnictwa. Zebrani rozwijają transparenty: „Chłopi i robotnicy do handlu – Żydzi do

Palestyny i na Madagaskar”, „Grosz obcemu – krzywda narodu”, „Oczyszczamy Polskę z żydów”¹. Wznoszą okrzyki, i śpiewają:

Ach, Polsko kochana,
masz ludu miliony,
jeszcze żydami
kraj twój zapełniony.

Powstań, orle biały,
bij żydów szponami,
żeby nie były
naszymi panami².

Żydowscy mieszkańcy miasteczka tego dnia nie wychodzą z domów, nie wypuszczają dzieci. Nazajutrz w rozmowach będą się cieszyć, że nie było tak źle: coraz bardziej pijana banda z narodówki, która do późnego wieczora, przy

akompaniamencie akordeonu śpiewała patriotyczne pieśni i skandowała „Bij Żyda!”, wybiła tylko kilka szyb w ich domach.

1

Choć żydowscy i chrześcijańscy mieszkańcy Radziłowa czy Jedwabnego nie różnili się tak bardzo na co dzień wyglądem (na tych terenach chasydzi byli rzadkością, Żydzi chodzili ubrani bardziej „po miejsku”, a starsi nosili kapelusze), choć ich dzieci najczęściej chodziły do tej samej szkoły (w Jedwabnem nie było oddzielnej szkoły żydowskiej, w Radziłowie była, ale płatna i mało którą rodzinę było na nią stać), choć często mieszkali drżwi w drżwi w tych samych budynkach, choć zdarzały się przyjazne stosunki między dziećmi, sąsiadkami, współnikami w interesach – żyli życiem

oddzielnym, mówili innymi językami. Żydzi, szczególnie młodszy, radzili sobie dobrze z polskim, ale językiem domowym był jidysz. Przestrzeganie przez Żydów koszernej kuchni wykluczało wzajemne zapraszanie się do domów na poczęstunek. Dzieci żydowskie po szkole jeszcze często uczyły się hebrajskiego i historii Żydów, a także pomagały rodzicom w warsztacie czy sklepie. Dzieci polskie po lekcjach szły pomagać w polu (nawet mieszkańcy miasteczek zwykle mieli pole, krowę, świnie), często zresztą z tego powodu kończyły edukację po kilku klasach.

Życie społeczne i kulturalne biegło oddzielnymi torami. Jeszcze zaraz po I wojnie było trochę wspólnych działań, pikników, uroczystości inicjowanych przez Ochotniczą Straż Pożarną, Związek Strzelców i Związek Rezer-

wistów, ale Żydzi spotykali się często z niechętną reakcją Polaków, a w drugiej połowie lat trzydziestych zostali wprost z tych organizacji wyrzuceni. Życie katolików skupiało się wokół parafii i świąt kościelnych oraz wokół imprez organizowanych przez Stronnictwo Narodowe, co w sposób oczywisty wykluczało z nich Żydów.

Na tym terenie obie społeczności w dziewięćdziesięciu procentach, jeśli nie więcej, składały się z ludzi biednych i bardzo biednych³. Mosze Rozenbaum z Radziłowa, który w kwietniu 1939 roku wylądował w Australii, wspominając w swoim pamiętniku lata trzydzieste, pisał, że z głodu budził się w nocy i nie był w stanie skupić się na lekcjach w szkole. Zimą wychodził na dwór i brał do ust garść śniegu, żeby oszukać ssanie w żołądku⁴.

A jednak to Żydzi byli mniejszymi biedakami, to oni zatrudniali u siebie Polaków – kobiety do pomocy w domu, mężczyzn w warsztatach. Zaś szabatowy czulent często był najpożywniejszym daniem, jakie dziecko polskich sąsiadów miało okazję zjeść w ciągu tygodnia, przynosząc w sobotę wieczór żydowskiemu koledze zeszyty. Kiedy powiedziano katolickim sąsiadom, że przyczyną ich biedy są Żydzi, wielu bez trudu uwierzyło.

Morris Atlas, dawniej Mosze Ałasowicz, który wyjechał z Radziłowa przed

I wojnę, zza oceanu w drugiej połowie lat dwudziestych zapytał ojca w liście, czy ma wrócić, wspomóc go na stare lata. Odpowiedź ojca była krótka: „Zostań lepiej tam, gdzie jesteś. To nie jest dobry kraj dla Żydów”.

2

Opowieści – spotykane zresztą i wśród katolików, i Żydów – o tym, jak świetnie układały się ich stosunki przed wojną, można tłumaczyć u pierwszych potrzebą zamazywania win, u drugich zaś – nostalgicznym upiększaniem czasów młodości. Gdy w latach trzydziestych przez Europę przetaczała się fala antysemityzmu, mieszkańcy Jedwabnego i okolic dorównali europejskim standardom. Można nawet powiedzieć, że szli w awangardzie. Łomżyńskie było matecznikiem endecji od więcej niż stu lat. Najpotężniejsza siła polityczna w tym regionie – Obóz Wielkiej Polski z Romanem Dmowskim na czele – która motywem przewodnim swej działalności uczyniła walkę z Żydami, przeobraziła miasteczka tej części Polski, w której rządziły bieda z zacofaniem,

w miejsca tętniące społeczną aktywnością. Zawołanie „Bij Żyda!” mobilizowało młodzież, wstępującą do faszyzującego Ruchu Młodych tego obozu.

– Podwórko rabina sąsiadowało z podwórkiem kierownika szkoły, a ja przyjaźniłam się z jego córkami – opowiadała pochodząca z Radziłowa Halina Zalewska. – Z góry, z dachu, patrzyłyśmy, kiedy rabin idzie do wychodka, trzymałyśmy drzwi otwarte i przezywałyśmy go, nie dając się załatwić. On był jak szczur, ślepie czarne, a jego żona wychodziła do nas: „Oj panna, nieładnie, ja się tatusiowi pokłonię i powiem”. Lubiliśmy rabinowi dokuczać. Tak samo jak

Żydówce Psachtowej. Prowadziła sklep, a że niedowidziała, dzieci przychodziły po pestki

czy landrynki i zamiast pieniędzy dawały jej guziki.

Mieszkający przed wojną w Wiźnie Jan Cytrynowicz, który został ochrzczony, zapamiętał, jak przed żydowskim Świętem Kuczek, kiedy jedno pomieszczenie musi mieć otwarty dach, na zebraniach młodzieżowej organizacji przykościelnej chłopcy namawiali się, żeby wpuszczać tam koty. Jan Skrodzki pamiętał, że jego starsi koledzy łapali wrony i wrzucali je do synagogi w czasie modłów. Wtedy nie było światła elektrycznego, Żydzi modlili się przy świecach, wrony leciały do światła i świeczki gasły. Stanisławowi Przechodzkemu, urodzonemu w Jedwabnem już po wojnie, matka wspominała z niesmakiem, jak grupy młodzieży chodziły w szabat z harmonią pod żydowskie domy zakłócać im świę-

to, jak zabierano jarmułki Żydom i żądano po złotówce albo po dwa złote za zwrot. Mówiła, że prym w tym wiodły „Laudańszczaki”, czyli bracia Laudańscy.

Nie byłoby znów nic strasznego w tych marnych wygłupach – dzieciarnia i młodzież łobuzowały jak świat światem – gdyby nie to, że przyuczały do poczucia pogardy dla Żydów i niechęci do nich, a uczucia te konsekwentnie wzmacniano w procesie wychowawczym.

– Pamiętam, jak Kazimierz Laudański stał przed sklepem żydowskim i zabraniał robić tam zakupy – opowiadał mi Jakow Cofen *vel* Geva z Jedwabnego (wtedy nazywał się Jakub Pecynowicz).

– W polskiej piekarni za pięć groszy dawali dwa obwarzanki z gorszej mąki, podczas gdy w żydowskiej za trzy grosze – zapamiętał Leon

Dziedzic z Jedwabnego – ale kiedy do niej zachodziłem, stało dwóch z pałą i wskazywali: „Tam jest polski sklep”.

Chaja Finkelsztejn z Radziłowa opisywała w swoim pamiętniku, że pod koniec lat trzydziestych klienci wchodzili tylnymi drzwiami do żydowskich sklepów, bo bali się wejść od frontu.

Jan Cytrynowicz wspominał, jak znajomy jego ojca opowiadał, głośno się przy tym śmiejąc, jak to do jego rodzinnej wsi przyszedł Żyd z handlem obwoźnym, miejscowi chłopcy wcisnęli mu w usta niekoszerną kiełbasę, a on się tak przed tym bronił, że aż leciała mu krew.

Profesor Adam Dobroński, historyk specjalizujący się w Białostocczyźnie, przytaczał mi anegdotę, jak to Stronnictwo Narodowe ogłosiło w jednej z okolicznych wsi, że funduje

nagrodę – owies dla dzielnego konia, który kopnie Żyda.

Szmul Wasersztein we wspomnieniach, które podyktował przed śmiercią w Kostaryce, mówił, jak ciężko mu było żyć w kraju, w którym „połowa mieszkańców uważa cię za nędznego Żyda, szczura, krzyczą, żebyś wynosił się do Palestyny, ubliżają ci i rzucają kamieniami w twoje okna”, w kraju, w którym „bandy niegodziwców sprawiają lanie żydowskim dzieciom pod byle pretekstem, każą klękać, zdejmować czapki”. I jak upokarzały go pouczenia ojca, aby jako Żyd zawsze schodził z chodnika, gdy przechodzi ksiądz albo wojskowy.

1 Szkoła żydowska Tarbut w Radziłowie. Lata trzydzieste

2 Młodzież z organizacji chalucowej. Jedwabne, 1930 rok. Blisko piętnaścioro z nich udało się przed wojną wyjechać do Palestyny

2





Jan Sokołowski, pochodzący z Jedwabnego, na moje pytanie o relacje polsko-żydowskie przed wojną przedstawił mi swój punkt widzenia:

– A jakie mogły być, skoro Żydzi wszystkie cięższe zawody, jak ciesielka, murarstwo zostawiali Polakom, a sami tylko czapki robili albo młynarzami byli, albo brali się za handel? Bułeczka była pięć groszy u Polaka,

a u Żyda dwa grosze, to jak tu mówić o konkurencji? Do kościoła w niedzielę szło się z batem od konia, boby bat ukradli, taka była bieda. A jak bieda, to do Żyda. Na kredyt można było brać, Żyd wpisywał do zeszytu i już miał Polaka w garści. Rolnik to aż zmuszony był czasem krowę sprzedać, żeby Żydowi pieniądze oddać.

3

Słowo „rewolucja” w odniesieniu do pogromu, który miał miejsce 23 marca 1933 roku w Radziłowie, usłyszałam od kilku rozmówców. Używali go za każdym razem z pozytywną konotacją, że miała to być rewolucja narodowców, wstęp do przejęcia przez nich władzy.

– Mówiono: rewolucja – Halina Zalewska wspominała zdarzenie, które poruszyło całe

miasteczko. – Strzelanina, okna powybijane, okiennice pozamykane, kobiety piszcząły, uciekały do domu.

– Kuzyn mego ojca, który woził na targ gliniane garnki, został podczas tej rewolucji ranny – opowiadał inny mój rozmówca. – Leżał u nas na szlabanku, to była ówczesna wersalka: w dzień ława, nocą rozkładało się ją i w środku był siennik ze słomy. Felczer Jan Mazurek próbował mu pomóc, ale on i tak zmarł.

– Powybijane okna na rynku, przewracane beczki ze śledziami – zapamiętał kolejny świadek. – Czterech chłopów w tę rewolucję zastrzelili, a ilu wsadzili do paki. Trzymali ich w „Czerwoniaku” w Łomży, dawnym carskim więzieniu, potem wozili do biskupa, żeby za darmo u niego robili.

Jedynie Stanisław Ramotowski, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, nazwał rzecz jasno pogromem.

– Widziałem, jak bojówka okna biła Żydom. I jak policjanci zabili człowieka, co wywalił Żydowi beczkę ze śledziami. Ci z narodówki to nie byli chłopcy, to byli dorośli ludzie, ci sami, którzy stali na rynku z łomami przed sklepami żydowskimi. Kilku z nich widziałem w akcji jeszcze nieraz.

Byli to członkowie Obozu Wielkiej Polski, organizacji, która miała własne bojówki, wynik sojuszu chłopsko-inteligenckiego. Wiejscy chłopcy pod batutą inteligenckiej młodzieży z Łomży jeździli furmankami od miasteczka do miasteczka, urządzając antyżydowskie burdy. Apogeum działalności OWP przypada właśnie na marzec 1933 roku. Dojście Hitlera do

władzy (styczeń 1933 roku) otworzyło całkiem nowe perspektywy – okazało się, że hasła antyżydowskie, głoszone dotąd zarówno w Niemczech, jak i w Polsce przez jedno ugrupowanie, mają szansę stać się obowiązującą ideologią państwową... OWP zorganizował akcje w różnych częściach Polski, a na tych terenach do największego pogromu doszło w Radziliowie.

Ten pogrom wspominał po latach Mosze Rozenbaum. Najpierw opisywał cotygodniowy czwartkowy targ. Kupcy żydowscy z pobliskich miasteczek przywozili szuby baranie, buty z cholewami, beczki solonych śledzi. Polscy chłopci sprzedawali pszenicę, żyto, jęczmień i owies. Drobni kupcy żydowscy, głównie ze Szczuczyna, wykupowali całe to zboże i sprzedawali dalej do Prus. Tego dnia po wyjś-

ciu ze szkoły zobaczył zdemolowany rynek, po tym jak „chłopi z okolicznych wsi najechali Radziłów uzbrojeni w żelazne łomy i drewniane pałki i zaatakowali Żydów”. Chaja Finkelsztejn zapamiętała, że od rana ciągnęły, jak każdego tygodnia, fury na targ. Ale tym razem nie były wyładowane towarami. Siedzieli na nich chłopci zaopatrzeni w kłonicie i drągi. Po pogromie w oknach żydowskich domów nie została ani jedna cała szyba.

„Przegląd Łomżyński” – tygodnik Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, który prowadził ostry spór z narodowcami, relacjonował z oburzeniem zajścia, a w kolejnym numerze informował: „Zmarła ofiara zbrodniczej działalności Obozu Wielkiej Polski Chana Sosnowska”.

Była żoną jedwabieńskiego szewca, mieszkała drzwi w drzwi z rodziną Waser-sztejnów, przyjaźniła się z matką Szmula. Pamiętał ją Meir Ronen, wówczas Meir Grajewski, z Jedwabnego.

– Wracając ze szkoły, zobaczyłem furmankę, a na niej kobietę oblaną krwią. To była Chana Sosnowska z ulicy Przytułskiej, która co czwartek jeździła z butami na targ do Radz-iłowa.

Pamiętał ją rabin Jacob Baker, wówczas Jakub Piekarz, z Jedwabnego. Zamawiał u niej kilka razy buty, a po pogromie odwiedzał ją w szpitalu. Uczył się w jesziwie w Łomży, więc poproszono go, by zajrzał do rannej, pamiętał, że był wyjątkowo upalny kwiecień i że ją wachlował. Uczestniczył w jej pogrzebie.

Wspomniął też wcześniejszą śmiertelną ofiarę antysemityzmu z Jedwabnego.

– To był 1932 rok. Usłyszeliśmy krzyk, znaleźliśmy w stawie Moszego Łaskę. Wykryto sprawców, przyznali, że to zrobili dla zabawy. Mosze siedł gdzieś w sprawie biznesu i zamiast biznesu miał własny pogrzeb.

Dokładny przebieg pogromu w Radziłowie znany jest z raportu sporządzonego przez Wydział Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku. Policja prewencyjnie zatrzymała w radziłowskim areszcie członków Obozu Wielkiej Polski. Tłum wtargnął do aresztu i ich uwolnił. Bojówkarze demolowali żydowskie stragany, bili Żydów. Z tłumu padły strzały i zaatakowana policja użyła broni. Na miejscu zmarło dwóch uczestników pogromu, a kole-

jnych dwóch później w wyniku odniesionych ran⁵.

Skazano siedemnastu sprawców na kary od trzech miesięcy do dwóch i pół roku w zawieszeniu. Józef Przybyszewski, redaktor naczelny bojówkarskiego organu „Młodzi owp” wychodzącego w Łomży, został uznany za moralnego sprawcę pogromu w Radziłowie i skazany na dwa lata więzienia, ale Sąd Apelacyjny w Warszawie go uniewinnił.

Komentując wypadki w Radziłowie, wojewoda białostocki składał sprawozdanie do Warszawy (z nadrukiem „tajne i b. pilne”): „owp zagraża w sposób wybitny porządkowi i bezpieczeństwu publicznemu. Spotyka się z całkowitym poparciem kleru... OWP na terenie białostockiego jest częścią składową Stron-

nictwa Narodowego, zaopatruje się w legitymacje SN itp., jest inspirowaną awangardą sn”.

Minister spraw wewnętrznych rozwiązał organizację. Ale na niewiele się to zdało. Administracyjne decyzje urzędników w dalekiej Warszawie mogły co najwyżej lekko pokrzyżować szyki narodowcom, to oni jednak rządzili w okolicy. Działacze młodzieżówki OWP zasilili szeregi Stronnictwa, przekształcając rozwiązane formalnie komórki w Sekcje Młodych SN i powodując dalszą radykalizację Stronnictwa w sprawie „rozwiązania kwestii żydowskiej”⁶.

To z inspiracji Sekcji Młodych SN – jak opisuje historyk regionu Henryk Majewski – jesienią 1934 roku doszło w wielu miejscowościach Łomżyńskiego do tak zwanych strajków szkolnych, czyli do bojkotu przez dzieci zajęć

prowadzonych przez żydowskich nauczycieli połączonego z zebraniem protestacyjnymi rodziców przed budynkami szkolnymi.

W następnych latach coraz częściej przechodzono od słów do czynów. W kolejnych miasteczkach powtarzał się ten sam scenariusz co w Wysokiem

Mazowieckiem we wrześniu 1936 roku: „W czasie targu pobito i pokłuto nożami żydowskich kupców, wielu uciekło, zostawiając towar bez opieki, towary zrabowano”. W Radziłowie w każdy targowy czwartek bojówki wywracały stragany i biły Żydów.

Oto typowe raporty Wydziału Bezpieczeństwa z lata 1936 roku: Podczas jarmarku w Długosiodle wybito pięćdziesiąt jeden szyb, rozrzucono piętnaście straganów, poturbowano pięciu Żydów. We wsi Wyszonki Koś-

cielne w nocy wybito czterysta siedemdziesiąt cztery szyby, porąbano siekierami siedemnaścioro drzwi, rozbito dwa sklepy, rozrzucając towary, lekko potłuczono kamieniami dwie osoby. Delegat Stronnictwa z Warszawy na spotkaniu w Łomży polecił tworzyć specjalne bojówki, które po przeszkoleniu użyte zostaną wyłącznie do walki z Żydami. „Młodzież wiejska – zdawano sprawę – ogarnięta hasłem »Bij Żyda« propagowanym namiętnie wszędzie i na każdym kroku przez Stronnictwo Narodowe, a także z ambony, popadła w niebezpieczną psychozę zagrażającą bezpieczeństwu publicznemu. Coraz więcej jest wystąpień spontanicznych i samorzutnych przeciw Żydom”.

Raporty takie pod nazwą *Sprawozdania sytuacyjne z ruchu politycznego polskiego i życia społeczno-politycznego mniejszości narodowych*

Wydział Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku sporządzał co miesiąc (można je znaleźć w białostockim Archiwum Państwowym). Nie powstydziliby się ich żaden socjolog. Znakomicie ilustrują nastroje na tych terenach. Pokazują niechętny stosunek władz państwowych nie tylko do owp, lecz także do całej narodówki (państwu wadził ich stosunek do żydowskich współobywateli, ale też ostra krytyka tej opozycyjnej partii wobec każdego posunięcia rządu, wobec każdej sejmowej ustawy) i dowodzą niezbicie, że państwo polskie poczuwało się do swych żydowskich obywateli, próbowało ich chronić, że aresztowano i skazywano bojówkarzy. W sprawozdaniach podkreślano, że Żydzi starają się wykazywać lojalnością w stosunku do państwa polskiego... wbp, który monitorował prasę w jidysz,

relacjonował, że rozprowadzana w Białymstoku gazeta „Unzer Leben”, informując o prośbie Romana Dmowskiego skierowanej do Ignacego Paderewskiego, by odwołał koncert w Paryżu na rzecz uciekinierów Żydów z Niemiec, jednocześnie apelowała o udział w państwowym Świącie Morza.

4

O rozmiarach i głębi tamtejszego antysemityzmu daje pojęcie lektura lokalnej prasy, a zwłaszcza skierowanego do rolników tygodnika diecezji łomżyńskiej „Życie i Praca”. Redaktorem naczelnym był ksiądz Antoni Roszkowski. Gdy tygodnik został zamknięty przez władze w 1935 roku, ukazał się chwilę później, pod tą samą winietą kościelną i z tym samym naczelnym, tylko pod zmienionym ty-

tułem – „Sprawa Katolicka”. Pismo drukowano w diecezjalnej drukarni pod skrzydłami biskupa, co w dużej mierze chroniło je przed konfiskatami. Obok porad, jak walczyć z chwastami i tępić robactwo, ważnym wątkiem było „nieustawanie w uświadamianiu współbraci o niebezpieczeństwie żydowskim”. Porównywalne emocje budziła jeszcze tylko batalia o zakazanie ćwiczeń z WF-u ze względu na „nieprzyzwoitość ćwiczeń cielesnych”.

Oto tytuły z pierwszej strony: *Żydzi sobie pozwalają, Wywłasczyć żydów z ziemi, Za winy żydów cierpi młodzież polska, Jak się zażydziła Polska.* „Naród polski dojrzał i zrozumiał, że nie za rok ani dwa, ale już dziś trzeba zerwać stosunki z żydami – czytamy we wstępniku redakcyjnym *Zrywamy z żydami.* – Żaden naród nie ścierpiałby tego, co znosimy od żydów od

długich lat. Żydzi zagarnęli nam handel i rzemiosło. Straszne widmo żydowskiej Polski stanęło przed oczami. Za wszystko zło nie chcemy płacić złem, nasza odpowiedź ma być godna narodu, chrześcijańskiego i kulturalnego. Z żydami zrywamy stosunki. Dla młodzieży polskiej żydzi nie są kolegami, stosunki towarzyskie z żydami nie pasują chrześcijaninowi, powinny być zerwane. Musimy bić na alarm. Żydzi zagradzają Polsce drogę do wielkości. Zerwania z żydami domaga się od nas rozum i sumienie”.

Za wzór stawiano Niemców, którzy „dobrze sobie radzą z nadmiarem żydów”. „To, co planują narodowi socjaliści w sprawie wyrzucenia żydów z Niemiec – byłby to zaiste potężny cios dla żydostwa” – komentowano program nazistów. „W Polsce jest im chyba

za dobrze, skoro ośmielają się krytykować Polaków” – pisano w tekście *Żydom ku przestrodze*. Powtarzano: „Takiej masy żydostwa żaden kraj nie strawi i nie zniesie”. „Nie zwlekajmy” – ponaglano we wstępniaku, dowodzącym, że Żydów nie powinno być w Polsce.

Przemawiano Żydom do rozsądku: „Jak tam jest w Polsce, to jest, ale to wszystko jest naszą sprawą wewnętrzną, i do tego żydom zasię!”; „Żydzi powinni nałożyć wszelkich wysiłków, aby narodu naszego bez potrzeb nie drażnili. Dobrze to będzie, gdy żydzi zrozumieją, że to tylko dla ich dobra będzie, jeśli poskromią swoje apetyty na ziemię polską, na kamienice, handle i stanowiska po miastach naszych”. Ale też niespecjalnie liczone na rozsądek i poskromienie apetytów, bardziej na rodzimą

aktywność. Apelowano: „Małe dziecko po bułkę czy cukierek, ołówek czy zeszyt, gospodarz po towar – może znać drogę tylko do sklepu polskiego, Polak do Polaka!”. Kreślono wizję „żydowskiej Polski”, gdzie „wypierani z handlu żydkowie” kupują ziemię, a „lud polski, odwieczny gospodarz tej ziemi, miałby pójść na poniewierkę i tułaczkę pomiędzy obcymi”, albowiem „każde żydowskie gospodarstwo to zadra w żywym ciele rolnika polskiego”. „Zdawałoby się, że już czas, by żydzi zrozumieli, że gospodarzem w Polsce są Polacy. Żydzi tego jednak zrozumieć nie mogą czy nie chcą, ale to nie może im wyjść na dobre”.

Nawet księża byli narażeni na niebezpieczeństwo: „Na terenie diecezji łomżyńskiej pojawiło się dwóch agentów-żydów, posiadających materiały na sutanny księzowskie. Okazu-

ją przytem bilety wizytowe różnych księży naszej diecezji i przez to łatwiej namawiają na kupno. Ostrzega się przeto Czcigodnych Księży, aby stanowczo nie dawali owym żydkom swych biletów wizytowych, gdyż tym sposobem, bez żadnej słusznej racji, popiera się handel żydowski, co jest sprzeczne z hasłem: »Swój do swego i tylko po swoje«⁷.

Na marginesie zwracano uwagę, by nazbyt pochopnie nie zawierać ludowym przysłowiom o Żydach. „Do niedawna wielu ludzi z lekceważeniem mówiło o żydach, słyszało się często taką mowę: »Żyd głupi, żyd wszystko kupi«, »żydowski wojak«, »pracujesz niezdaro jak żyd na roli«, »wyglądasz jak żyd na koniu« – wszystko to nie miało sensu, a usypiało naszą ostrożność i czujność przed żydami [...]. Śmieli się ludziska z żydów,

a tymczasem te niedołęgi i proste, zwykłe żydki – brali cały handel w swoje ręce, zagarniali rzemiosło, stali się dziedzicami, fabrykantami, doktorami, adwokatami”.

„Życie i Praca”, a potem „Sprawa Katolicka” odgrywały aktywną rolę w bojkocie żydowskich sklepów. „Kto kupuje u żydów, korzysta z usług lekarzy, adwokatów, rzemieślników żydowskich, ten odpowiada przed Bogiem i narodem za wzrost nędzy i przestępstw w Polsce, za wzrost komuny, bezbożnictwa i socjalizmu”. Zachęcano, by fortelami zwalczać żydowską konkurencję: „W Stawiskach piekarnia polska wegetowała, ale ktoś puścił plotkę, że jest tyfus plamisty wśród żydów i że oni okładają się bochenkami chleba, i sytuacja polskiej piekarni się poprawiła”.

Podawano przykłady udanych akcji bojkotu, pomijając milczeniem, że wiązały się one z biciem ludzi i demolowaniem straganów. Przemocą co prawda nie popierano jawnie, dawano jednak do zrozumienia, że różne chwytby są dozwolone. Pisano o wspaniałych mowach obrończych w procesach nacjonalistycznych bojówkarzy, przechodząc do porządku nad tym, że dotyczyły pospolitego bandytyzmu – bicia i rabunku.

Po pogromie w Radziłowie w 1933 roku cały nakład „Życia i Pracy” skonfiskowała cenzura (czy poszło o pogrom? Pewnie tak, choć mogło też iść o awanturę z kurią biskupią, która nie zezwoliła 19 marca na nabożeństwa szkolne z okazji imienin Piłsudskiego). Już w następnym numerze pisma znalazła się pośrednia

apoteoza pogromu w notce *Piękny przykład pomocy bliźniemu*

O aresztowanych w związku z pogromem w Radziłowie dwóch braciach, którzy pozostawili gospodarstwo bez opieki, a w domu została tylko matka. „Staruszką i gospodarstwem zajęli się jednak koledzy aresztowanych, dawni członkowie OWP, którzy wspólnymi siłami zaorali i obsiali ziemię”.

Zgodnie z ideologią Stronnictwa należało nie tylko rugować Żydów ze sklepików i zakładów rzemieślniczych, lecz także nie sprzedawać im ziemi i nie dopuszczać do szkół i państwowych urzędów.

„W żydowskie ręce żadna chrześcijańska rodzina swego dziecka nie odda”. „My, katolicy, występując przeciw dopuszczeniu żydów do szkół polskich, czynimy tylko to, co nam

nakazuje wiara. Nasze sumienie katolickie i duma narodowa nakazują nam odsunąć nauczycieli żydów” – powtarzano w prasie diecezjalnej. Oburzano się, gdy w urzędzie zatrudniano obywatela polskiego narodowości żydowskiej, czemu służyła rubryka *Żyd na miejsce Polaka*: „Pogłoska, której daliśmy wyraz w swoim czasie, sprawdziła się, bo oto naczelnym lekarzem kasy chorych w Łomży został żyd. Obsadzanie wybitniejszych stanowisk w Polsce przez ludzi rasowo nam obcych sprawia ból ogółowi Polaków” lub „Takim właśnie niepodobieństwem, a jednak będącym rzeczywistością, jest fakt, że przedstawicielem Związku Klasowego Robotników Rolnych jest żyd, niejaki Turek. Czyż nie jest anomalią, że człowiek obcy duchowi polskiemu rasą, wyz-

naniem i narodowością decyduje o losach związku czysto polskiego?”.

Prasa diecezjalna była dla miejscowej ludności oknem na świat. Rubryka *Informacje z kraju* donosiła o „żydowskiej lichwie”, „odżywieniu Łodzi”, „skradzionym z kościołów złocie skupowanym przez dwóch żydów lwowskich”, „nauczycielu-żydzie w Nowo-Święcianach szerzącym komunizm” czy o „żydzeniu harcerstwa”. A w rubryce *Informacje ze świata*: „Pogłoska o mordzie rytualnym”, „Chłosta dla żydów za otwieranie sklepów w niedzielę” (w Trypolisie) i tak dalej. Najwięcej energii poświęcano szerzeniu nowoczesnego, ekonomicznego antysemityzmu, choć tradycyjny, religijny, też miał w tej prasie swoje miejsce. Polecając parafianom lektury, zachwalano broszurę księdza Juliana Unszlichta *Życie*

i nauka Jezusa Chrystusa w zarysie, przedstawiającą „przewrotność żydowską w odniesieniu do Jezusa”.

5

Można dyskutować nad bezpośrednim wpływem prasy na terenach, gdzie jedna trzecia mieszkańców była analfabetami, jedna trzecia zaś ukończyła ledwie dwie klasy szkoły podstawowej⁸. (Gdy czyta się materiały z powojennych procesów przeciw uczestnikom mordu, zwraca uwagę, że niektórzy świadkowie i oskarżeni podpisują się krzyżykami. Jan Cytrynowicz opowiadał mi, że w Wiźnie chłopci, kupując trzy czwarte litra nafty, brali trzy razy po jednej czwartej i oddzielnie płacili, bo nie umieli dodawać). Tyle że pisma te

czytała elita miasteczek, w tym księża. I to oni nadawali ton.

W podejściu do kwestii żydowskiej diecezjalna prasa w Łomżyńskim nie różniła się zresztą od prasy w innych częściach Polski, bywało nawet znacznie gorzej. Skrajnie brutalny antysemityzm pod koniec lat trzydziestych był jej prawdziwą obsesją⁹. Zdecydowana większość prasy katolickiej przekonywała, że walka z Żydami w oczach Boga jest zasługą, nie grzechem, i wzywała do pracy nad odżywianiem kraju.

To, czym Łomżyńskie różniło się zasadniczo od reszty kraju – jak ustalił historyk Dariusz Libionka – to wysoki stopień zaangażowania księży w działalność Stronnictwa Narodowego. Łomżyńskie było tu wręcz ewenementem¹⁰.

I tak Stronnictwo miało poparcie większości proboszczów z diecezji łomżyńskiej, a nawet więcej procentowo w samym powiecie łomżyńskim (dwudziestu trzech na dwudziestu ośmiu proboszczów). Tamtejszy biskup Stanisław Łukomski, przyjaciel i współpracownik Romana Dmowskiego, prowadził zdecydowaną kampanię przeciw „wprowadzaniu do polskich szkół nauczycieli i dzieci innowierczych, zwłaszcza żydowskich”. Już w 1929 roku na Kongregacji Księży Dziekanów nakazał proboszczom pisanie sprawozdań na temat liczby nauczycieli i dzieci żydowskich i wskazywał jako wzór księdza Rogińskiego z Wysokiego Mazowieckiego, który „osiągnął to, że usunięto nauczycielkę Żydówkę”. Libionka przyznaje biskupowi Łukomskiemu również palmę pierwszeństwa wśród hierarchów w up-

owszechnianiu idei „odżydzania handlu” – w 1935 roku w wykładzie dla duchownych swej diecezji namawiał do naśladowania księdza, który kazał wiernym ślubować, że nie będą kupować w żydowskich sklepach.

Ze *Sprawozdań sytuacyjnych Wydziału Bezpieczeństwa* wynika jasno, że to księża z ambony i w przemówieniach podczas uroczystości narodowych propagowali ideologię Stronnictwa Narodowego. Działalność na jego rzecz odbywała się głównie poprzez oddziały Akcji Katolickiej, która była *de facto* na tym terenie kościelną przybudówką Stronnictwa, działała w zdecydowanej większości parafii. Prośbą i groźbą zachęcali księża parafian do uczestnictwa w działalności partyjnej. Ksiądz wikary Jan Rogowski z Piątnicy w czasie chodzenia po kołędzie wypytywał mieszkańców, czy należą

do Stronnictwa, a jak nie, to groził, że do spowiedzi wielkanocnej nie przyjmie i nie będzie święcił potraw na Wielkanoc. Ksiądz Marian Wądołowski w Mostach zachęcał, by ludność uczęszczała do świetlicy Akcji Katolickiej, „bo to druga ambona – to, czego nie można powiedzieć z ambony, tam można swobodnie wyrazić”.

Do antyżydowskich wystąpień wystarczałyby pretekst, budowa piekarni chrześcijańskiej czy domu katolickiego, Święta Wielkanocne czy dożynki, Matki Boskiej Zielnej bądź święcenie proporców Stronnictwa.

Notka w „Sprawie Katolickiej”: „W dniu 3 maja 1936 roku, po nabożeństwie, odbył się w mieście Jedwabne pochód przy udziale członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego w sile około 1500 ludzi, któremu to-

warzyszyła orkiestra oraz banderia na rowerach. Wygłoszone zostały dwa przemówienia, a w czasie pochodu wznoszono okrzyki »Niech żyje Wielka Polska Narodowa«, »Niech żyje polski handel narodowy«, »Precz z komunizmem żydowskim«. Pochód powyższy udał się i wywołał duże wrażenie w Jedwabnem i szerokiej okolicy”.

„Nasilają się doniesienia o uroczystościach religijnych, gdzie – alarmowano – proboszczowie nawołują do wypędzenia Żydów, »odżyczenia kraju w przemyśle i handlu« i kończących się okrzykami »Bij Żydów«, »Precz z Żydami«”¹¹. W jednym ze sprawozdań pojawia się ksiądz Cyprian Łozowski z Jasionówki, który „propaguje akcje antyżydowskie w czasie akademii [z okazji] 3 Maja, a jego chór koś-

cielny śpiewa »Od Żydów Polskę racz oczyścić, Panie«”¹².

Do niechęci do Żydów i pogardy dla nich Kościół przyuczał od dziecka. Młodsze dzieci uczestniczyły w Krucjacie Eucharystycznej zwanej Rycerstwem Jezusowym, starsze należały do Stowarzyszeń Młodzieży Katolickiej Żeńskiej i Męskiej, gdzie odgrywały sztuki teatralne – po tytule *Żyd swatem* łatwo domyślić się treści – a dorośli słuchali odczytów *O potrzebie i sposobach walki z żydokomuną*. Gdy w szkole pojawiał się żydowski nauczyciel, to na terenie parafii zbierano podpisy protestacyjne. W Kronice Parafialnej z Łap ksiądz opisuje z dumą udaną akcję w 1934 roku usunięcia ze szkoły żydowskiej nauczycielki.

– W kościele ciągle podkreślano, że Żydzi zamordowali Chrystusa, nie mogło być kazania bez tego wątku – opowiadał Jan Cytrynowicz.

– Ksiądz Rogalski z Wizny wciąż nawoływał, żeby nie kupować u Żydów, nie chodzić do Żydów. Miał za złe mojemu ojcu, który się przechrzcił, że ten handluje z Żydami, i za karę kazał mi wychodzić z lekcji religii. Dlatego moje wykształcenie skończyło się na szkole podstawowej. Z dwójką z religii nie można było się dostać do gimnazjum.

Sądząc po ilości miejsca poświęconego w *Sprawozdaniach*, można stwierdzić, że szczególnie aktywni w popieraniu antyżydowskich wystąpień byli księża w Wąsoszu i Radziłowie – miejscowościach, gdzie w 1941 roku katolicy wymordowali niemal wszystkich Żydów.

Ksiądz Piotr Krysiak z Wąsosza był znaczącą postacią w Stronnictwie Narodowym nie tylko na poziomie lokalnym i często bywał w Drozdowie, w którym pod koniec życia zamieszkał twórca endecji Roman Dmowski. To pod ideowym przewodnictwem księdza Krysiaka – podkreślano w raportach – powstało w Wąsoszu koło Stronnictwa Narodowego, to ksiądz osobiście urządzał zebrania członków SN i nawiązywał do pikietowania żydowskich sklepów. Jeszcze na odchodnym, we wrześniu 1937 roku, gdy miało miejsce uroczyste pożegnanie księdza przechodzącego w stan spoczynku, namawiał swoich parafian do organizowania pikiet także w sąsiednim Szczuczynie.

Ksiądz Aleksandra Dołęgowski, radziłowski proboszcza, wspominał Mosze Rozenbaum, jak w 1933 roku na pogrzebie

zabitych przez policję bojówkarzy z narodówki głosił: „Jeżeli krew żydowska nie poleje się na cztery

strony świata, to chrześcijaństwo upadnie”. Może nie padły aż tak ostre słowa, w każdym razie ze *Sprawozdań* wiadomo, że w pierwszą rocznicę pogromu ksiądz Dołęgowski celebrował mszę dla uczczenia ich pamięci i przemawiał do zgromadzonych na rynku pięciu tysięcy ludzi.

W pamięci polskich mieszkańców ksiądz Dołęgowski zapisał się przede wszystkim jako wyjątkowo chciwy kapłan. Miał ogrody, gdzie nakazywał wiernym pracować za marny grosz, z reguły i tak niewypłacany. Zdeklarowanymi działaczami antyżydowskimi byli jego wikariusze, to oni przewodzili akcjom bojkotu.

Najpierw ksiądz wikary Władysław Kamiński. Jak słyszałam, „tak nienawidził Żydów, że jak sobie popił, to strzelał w okna krawca Monkowskiego, który mieszkał naprzeciwko”. Zapamiętał go Stanisław Ramotowski:

– Widziałem na własne oczy, jak szedł razem z chłopakami z narodówki i wybijał szyby w żydowskich sklepach. Ze *Sprawozdań* wiadomo, że zbierał on dzieci ze starszych klas i namawiał do zwalczania handlu żydowskiego.

„Wysuwał argument – elegancko rzecz ujmował urzędnik Wydziału Bezpieczeństwa – że piekarze żydowscy, przygotowując pieczywo, mieszają je brudnymi nogami, plują w ciasto. Zaznaczył, że uczniowi, który pójdzie do żyda po towar, wystawi niedostateczny z religii”. Innym razem na lekcji religii ksiądz Kamiński mówił, że podczas wojny bolszewickiej Żydzi

oparzyli wrzątkiem głowę generałowi Rydzowi-Śmigłemu, który od tego wyłysiał. Z tego powodu żywi on do Żydów nienawiść i planuje wypędzić ich z Polski. Nie wiadomo, w jakim stopniu wikary zdawał relację z uczuć Rydza-Śmigłego, ale bez wątpienia w ten sposób wyrażał własne. Na powiatowym zjeździe Stronnictwa Narodowego w 1936 roku w Grajewie – na którym zebrało się dwa tysiące pięciuset uczestników – apelując o zwalczanie żydostwa i komunizmu, grzmiał, że Żydzi dla swoich celów zezwalają Żydówkom na małżeństwa z Polakami i że są ministrowie, którzy mają żony Żydówki.

W *Sprawozdaniach* jeszcze częściej pada nazwisko kolejnego wikariusza radziłowskiej parafii księdza Józefa Choromańskiego. W 1937 roku w marcu ksiądz osobiście

rozprowadzał i kontrolował pikiety przed sklepami żydowskimi. W czasie religii wysyłał dzieci, których rodzice kupują u Żydów, a „młodzież szkolna, pozostająca pod wpływem księdza, dopuszczała się czynnych i słownych wybryków przeciwko Żydom”. 18 lipca w Wąsoszu na obchodach poświęcenia proporca koła SN przemawiał do siedmiuset osób i urządzał akcje pikietowe. 29 lipca na posterunku w Radziłowie interweniował w obronie zatrzymanych pikietujących. 12 sierpnia w Radziłowie wysyłał pikiety (a po przeniesieniu do Kolna w 1938 roku zorganizował na początku roku szkolnego akcję, w wyniku której polskie dzieci nie wpuściły do szkoły swoich żydowskich kolegów).

Jedwabne tylko epizodycznie pojawia się w *Sprawozdaniach*, choć też, jak wszędzie, i tu

odnotowywane są ekscesy antyżydowskie: „25 sierpnia 1937 roku w Jedwabnem pikieciarze nie pozwolili Żydom postawić straganów. Jeden z Żydów, mimo zakazu, ustawił swój stragan z czapkami, pikieciarze stragan przewrócili”. W tym samym roku w księdze parafialnej Jedwabnego ksiądz Marian Szumowski zapisał: „Cały handel został polski na rynku, nikt nie ośmielił się wejść do sklepu żydowskiego, a jedna kobieta mimo ostrzeżenia weszła do piekarza Żyda, za to dostała lanie (kijem)”.

W związku z procesami i innymi restrykcjami spadającymi na narodowców – jak zawieszanie działalności poszczególnych kół – Kościół coraz częściej rozpinął nad nimi parasol ochronny. Od sierpnia 1938 roku prezesem zarządu powiatowego Stronnictwa Narodowego w Łomży był ksiądz Antoni Kochański,

co świadczy – jak mówił mi profesor Szymon Rudnicki, który badał działalność przedwojennych partii narodowych – o wyjątkowo bliskich związkach miejscowej hierarchii kościelnej ze Stronnictwem.

Konflikt polsko-żydowski, czy raczej endecko-żydowski, nie wyczerpywał całej splątanej sieci waśni sąsiedzkich. Również konflikty polsko-polskie rozpały ogromne namiętności. Kościół w Łomżyńskim zakazywał odprawiania mszy z okazji imienin Marszałka i rocznic jego zgonu¹³. Prasa BBWR-owska ostro potępiała antyżydowskie bojówki. Zwolnikom Piłsudskiego, w tym sporej części miejscowej inteligencji, nauczycieli, urzędników, bliżej było politycznie do wykształconej żydowskiej elity niż do rodaków ze Stronnictwa Narodowego.

6

Czytając sprawozdania Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, można by pomyśleć, że życie jedwabieńskich czy radziłowskich Żydów było jednym pasmem upokorzeń i prześladowań. Warto jednak pamiętać, że zwykle raporty urzędów bezpieczeństwa ukazują skrzywiony obraz rzeczywistości.

Choć Żydom niełatwo było żyć w nieprzyjaznym otoczeniu, choć często doskwierała im bieda, to jednak żyli życiem, za jakim ci, którym udało się wyrwać za ocean, nieraz gorąco tęsknili. Relacje z polskimi mieszkańcami były tylko tłem życia żydowskiej społeczności połączonej silnymi więzami i równie silnymi antagonizmami, pochłoniętej własnymi marzeniami i sporami. Żydzi tworzyli na tych terenach silne, odrębne,

nowoczesne społeczeństwo. W najmniejszym nawet miasteczku funkcjonowały żydowskie instytucje, partie, grupy samopomocowe, banki, stowarzyszenia¹⁴.

Sprawozdania wbp, w których monitorowano prasę regionalną wychodzącą w jidysz, dobrze oddają, jak bardzo Żydzi żyli swoim życiem, jak to, co było w centrum zainteresowania żydowskiej społeczności, odległe było od spraw, którymi przejmowali się ich polscy sąsiedzi.

Weźmy czas pogromu w Radziłowie. W marcu 1933 roku w lokalu Związku Rzeźników Żydowskich przy Zamenhofs w Białymstoku na pierwszym zjeździe delegatów żydowskich cechów rzeźniczych województwa białostockiego przemawiali Icchak Wałach i Lejb Szłapak, protestując przeciw ustawie, która miała

ograniczać rytualny ubój. W kwietniu w Jasionówce odbył się zjazd słuchaczy kursów języka hebrajskiego z oddziałów Goniądz, Knyszyn i Trzcień. W maju w Białymstoku trwał strajk żydowskich włókniarzy i Organizacja Syjonistów-Ortodoksów „Mizrachi” stworzyła konsorcjum rzemieślników oraz średniego kapitału, które zobowiązało się uruchomić w Tel Awiwie fabrykę włókienniczą, mającą w perspektywie zatrudnić stu trzydziestu miejscowych włókniarzy. Agencja Żydowska zgodziła się wydać sto dwadzieścia certyfikatów, czyli zezwoleń na wyjazd do Palestyny, i przydzielić plac w Tel Awiwie. Dzięki codziennej prasie w jidysz takie wydarzenia były zaraz na ustach wszystkich.

W Warszawie, we Lwowie, czy też w Białymstoku zasymilowani Żydzi nierzadko traktowali

zarówno tradycję religijną, jak i działalność żydowskich organizacji jako obcy im folklor. Ale w Radziłowie czy Jedwabnem każdy Żyd, także ten, który polskim posługiwał się chętniej niż jidysz i był dumny z legionowej przeszłości, bywał w synagodze i przynależał do jakiejś żydowskiej organizacji. No, może poza zdeklarowanymi komunistami, ale tych było jak na lekarstwo. Każdy przejaw działalności komunistycznej był skrupulatnie odnotowywany w sprawozdaniach Wydziału Bezpieczeństwa. Te notatki najlepiej pokazują, jak działalność KPP, poza dużymi miastami, była na tych terenach wątła. W Radziłowie apogeum działalności KPP przypada na 1932 rok. Oto jej działania: w marcu wywieszono transparent „Precz z krwawą dyktaturą faszystowską, niech żyje polska republika rad, niech żyje KPP”.

W kwietniu zatrzymano Chonę Zeligsona i Altera Gryngrasa podczas rozrzucania odezw komunistycznych. W czasie lipcowego odpustu Chona Moruszewski i Zajdel Rozenbaum wypuścili z tłumy dwa pomalowane na czerwono gołębie, które na wstęgach miały antypaństwowe napisy. We wrześniu Abram Moszek Bursztyn wręczył do rozkolportowania konfidentowi sześćdziesiąt sześć odezw komunistycznych, a na pastwisku rozrzucono sto odezw do „Towarzyszy chłopów”. Trudno określić, jaka była liczebność partii komunistycznej w samym Radziłowie, istniejące dane odnoszą się do całego Komitetu Dzielnicowego, który obejmował różne okręgi, raz z włączeniem Grajewa, innym razem także Szczuczyna. Wiadomo, że w 1926 roku w Komitecie Dzielnicowym, liczącym kilka miasteczek, było

sześćdziesięciu dziewięciu członków partii, w tym czterdziestu jeden Polaków i dwudziestu ośmiu Żydów

(Żydzi stanowili czterdzieści jeden procent), a tuż przed rozwiązaniem przez Stalina KPP w 1937 roku było dwadzieścia pięć procent Żydów. Za: Józef Kowalczyk, *Komunistyczna Partia...* (dz. cyt.)

Wraz z rosnącymi wpływami endecji rosły wśród ludności żydowskiej – na zasadzie reakcji – wpływy syjonistów, przy czym jedni syjoniści zwalczali drugich, a jedni i drudzy nie cierpieli Żydów komunistów, zresztą z wzajemnością. Agudat Israel, czyli organizacja ortodoksyjnych Żydów, z jednakową pasją zwalczała zarówno syjonistów, jak i komunistów ¹⁵.

1 Rodzina Chaima Berela Gutwerta, krawca, przed domem w Radziłowie. Czas I wojny światowej. Od lewej: Chaim Berel, najstarsza córka Hinda, syn Icchak Mosze, żona Mirjam (z domu Remba) i ich córki: Szejna, Ester, Doba. Zdjęcie wykonali żołnierze niemieccy, którzy stacjonowali w Radziłowie.

Hinda, Ester i Doba wyemigrowały przed wojną. Icchak Mosze, zwany Alkiem, był nauczycielem w szkole żydowskiej Tarbut w Radziłowie, zginął w czasie Holokaustu. Chaim Berel wraz z żoną i córką Szejną zostali spaleni w stodole w Radziłowie 7 lipca 1941 roku

2 Chaja Niedźwiecka, nieznane są imiona chłopców.
Radziłów, około 1910 roku

3 Mejer Silverstein, dawniej Sztabiński, z ciotką i babcią.

Mejer urodził się w Radziłowie w 1903 roku, jako dziesięciolatek wyjechał do Ameryki, a w 1931 roku odwiedził rodzinne miasteczko. Zdjęcie pochodzi z tej wizyty

1



2



3



1 Cypora i Abraham, dzieci Jony Rotszylda. Jedwabne, 1920 rok.

Cała rodzina wyjechała przed wojną do Palestyny. Tzipora Rothchild po latach spisała zapamiętane imiona i nazwiska mieszkańców Jedwabnego dla *Jedwabieńskiej księgi pamięci*

2 Chaja Sara Piekarcz i jej trzech synów, od lewej: Hersz, Jakow, Jehuda. Jedwabne, 1933 rok. Chai, przebranej za chłopkę, udało się uciec 10 lipca 1941 roku, zginęła w Holokauście. Synowie wyemigrowali do Ameryki, gdzie przyjęli nazwisko Baker. Opracowali *Jedwabieńską księgę pamięci*. Rabin Jacob (Jakow) Baker przemawiał na uroczystościach w Jedwabnem 10 lipca 2001 roku

3 Od lewej: Owadja, Mirjam i Szłomo, dzieci Szmula Bursztejna, handlarza nieruchomości. Jedwabne, 1936 rok. Obok rewers zdjęcia, wysłanego do rodziny do Ameryki.

Mirjam Bursztein 10 lipca 1941 roku została zgwałcona i wrzucona do płonącej stodoły

- 4 Rodzina Bursztejnów. Jedwabne, 1939 rok. Obok
rewers zdjęcia, wysłanego do rodziny do
Ameryki
- 5 Pośrodku Lejb Bromsztejn z Jedwabnego, który
służył w wojsku polskim. Lata trzydzi-
este
- 6 Od lewej: Estera Zieleniec, jej koleżanka z rodziny
Stryjakowskich i Sława, córka rzeźnika
Judki Serweta. Jedwabne, 1930 rok

1



2



3



4





1 Josel Kubrzański (po lewej) z Jedwabnego z kolegą.
Josel był w Jedwabnem 10 lipca 1941 roku, ale zdołał się ukryć. Zginął w Holokauście

2 Małka, z domu Hurwitz, z mężem i córeczką Hindą.
Jedwabne 1939 rok

3 Chana Garbarska, córka nauczyciela z jedwabieńskiego chederu Abrahama Aarona Danowskiego, z mężem i córką Jospą

4 Icchak Adamski, nauczyciel w jedwabieńskim chederze, z żoną Chaną Bejlą i córkami

3



4





7

– Narodówka rozbijała stragany, tak że policja musiała interweniować – wspominał Kazimierz Mocarski spod Jedwabnego – a Żydzi przy tych straganach byli tacy uprzejmi: „Dzień dobry – mówili do mamy – a jaki synek śliczny” i dawali mi cukierka. Wystarczyło, żeby mama

powiedziała: „Żydzie, u tego drugiego Żyda materiał jest po dwa złote dziesięć groszy, a ty chcesz dwa złote dwadzieścia groszy?”, ten zaraz się kłaniał: „Ja dołożę do pani, pani Mocarska, ja za dwa złote pięć groszy sprzedam”.

Żydzi byli zapewne uprzejmi nie tylko w stosunku do życzliwej im pani Mocarskiej. Wymieniali wybite w sklepach szyby, a działaczowi Stronnictwa, który je wybił, dalej sprzedawali na kredyt. Starali się wobec Polaków zachowywać poprawnie, nawet przymilnie, zabiegając o ich przychylność.

Według opowieści moich żydowskich i polskich rozmówców dobrosąsiedzkie relacje polegały zwykle na tym, że Żydzi oddawali jakąś przysługę Polakom; to mogło być napisanie listu czy odłożenie obierek dla świń. Zapewne, obok zwykłego sąsiedztwa, dużą rolę odgry-

wała tu wielowiekowa tradycja, która uczyła, że muszą się wkupić w społeczność, wśród której żyją, i Żydzi nie widzieli w tym nic szczególnego. Co jednak czuli ich polscy sąsiedzi wychowani w antysemitycznej propagandzie, doświadczając rozmaitych uprzejmości? Chyba wielu z nich musiało odczuwać upokorzenie.

Większość polskich mieszkańców czuła nieufność i dystans do Żydów, a też poczucie wyższości, że to oni wyznają prawdziwą wiarę. Żydzi z kolei odczuwali pogardę dla „gojów” (nawet jeśli starali się jej nie okazywać), za to że są niepiśmienni, że piją i po pijanemu biją żony, że nie dbają o wykształcenie dzieci.

– Ojciec był krawcem, szył sutanny księdzu, miał wielu znajomych Polaków, ale nam, dzieciom, nie wolno było się bawić z polskimi

dziećmi – opowiadał Izaak Lewin, który wychował się w Wiźnie. – Widywaliśmy je w szkole, która była wspólna, czy na podwórku, ale w domu wbijano nam do głowy: „Tylko to jest dobre, co żydowskie”.

8

W 1936 roku ustawą sejmową ograniczono ubój rytualny, gwałcąc w ten sposób traktat mniejszościowy zakazujący państwu ingerencji w zwyczaje religijne mniejszości. Kolejne zarządzenia, centralne i lokalne, czyniły z Żydów obywateli gorszej kategorii. Zniesiono finansowanie szkół państwowych z językiem jidysz, a w polskich szkołach zabraniano opuszczać sobót. *Sprawozdania* ukazują w tych latach – zapewne mimowolnie – jak zmieniał się stosunek państwa do kwestii żydowskiej,

od kiedy sanacja dla ratowania swej pozycji przejęła od endecji, choć w złagodzonej wersji, jej antyżydowską ideologię. Od 1936 roku uważa się pewną zmianę tonu w raportach urzędników. Działania Stronnictwa Narodowego przybierają na sile i agresywności, a tymczasem pisze się o nim bardziej pojednawczo, winą obarczając też ofiary. „Niesforne doły SN dopuszczały się drobnych ekscesów antyżydowskich. Przyczyniali się zresztą do tego sami Żydzi przez aroganckie i wyzywające zachowanie” (sprawozdanie z maja 1936 roku).

Jeszcze w marcu 1936 roku „Sprawa Katolicka” oburzała się – w notce *Niesłychana bezczelność żyda wodzireja na zabawie strzeleckiej w Ostrołęce* – że koła sanacyjne dopuściły, aby Żyd był wodzirejem. Chwilę później już sam

Związek Strzelecki nie tylko nie powierzyłby Żydowi tej funkcji, ale nawet nie wpuściłby go na organizowaną przez siebie zabawę.

Więzi łączące obie społeczności na poziomie lokalnym – wynikające choćby z faktu, że ich przedstawiciele spotykali się na posiedzeniach rady miasta – i tak nadwerężone, nierzadko ostatecznie zrywano. Sprawozdanie ze stycznia 1938 roku informuje, że w Białymstoku po skreśleniu szkolnictwa żydowskiego z subsydiów radni żydowscy opuścili zebranie i wycofali się z prac rady miejskiej. Po wykluczeniu Żydów z kolejnych organizacji, typu Związek Rezerwistów – czytamy w *Sprawozdaniach* – uczestnicy walk o niepodległość Polski organizują się w niezależne organizacje, jak Związek Rezerwistów-Żydów im. Żabotyńskiego. Po 1936 roku przybyły kolejne or-

ganizacje żydowskie, większość była związana z samoorganizowaniem się zagrożonej społeczności. I tak we wrześniu 1936 roku powstał w Białymstoku Komitet Pomocy zbierający fundusze na pomoc właścicielom bojkotowanych sklepów. Ze *Sprawozdań* wiemy, że wspierał sklepikarzy między innymi w Radziłowie i w Jedwabnem.

Delegacja z Ciechanowca udała się 23 marca 1937 roku do stolicy z petycją do Żydowskiego Koła Parlamentarnego: „W dniu targowe przybywa do miasta ze wsi 200-300 ludzi, po pięć, sześć osób bojkotuje jeden sklep, nie dopuszczając ani jednego klienta, wymyślając mu: »świnie«, »żydowskie pacholki«, wyciągając klientów gwałtem, zdarza się, że opierających się klientów podrzucają do góry, a nawet biją. Nowo powstałe kupcy chrześcijańscy

wybudowali sobie w okresie dwóch-trzech miesięcy sklepy wzdłuż całego rynku i podburzają chuliganów. Zwracamy się do Was, posłowie. Ratujcie miasteczko przed zagładą”.

„Będąc absolutnie pewnym, że obecne zjawisko terroru rasowego jest przejściowe – głosiła odezwa z 15 sierpnia 1937 roku Wojewódzkiej Konferencji Żydowskich Detalistów i Drobnych Kupców Rejonu Białostockiego, w której optymizm maskował rozpacz – nawołujemy wszystkich żydowskich detalistów i drobnych kupców, by nie dali się owładnąć rozpacz i apatii, lecz ochoczo stali na swych zagrożonych pozycjach handlowych”. Jednocześnie konferencja apelowała do Jointu, żydowskiej organizacji filantropijnej z USA, o zwiększenie kredytów dla drobnych kupców.

Było już tylko gorzej.

W sierpniu 1937 roku zanotowano w Białostockiem sześćdziesiąt pięć antyżydowskich ekscesów, w tym cztery większe, w których wzięło udział od stu do czterystu osób, a policji stawiano czynny opór. I tak „19 sierpnia w osadzie Śniadowo podczas targu tłum z okrzykiem »Żydzi do Palestyny!«, »W Polsce nie ma dla was miejsca!« wypędził handlarzy. Uciekających Żydów smagano batami, a jeden spośród nich uderzony został kłonicą w głowę. Jednocześnie rozsypano Żydom kosz jabłek, rozpruto 8 worków zboża, porżnięto uprząż na koniu”. Sprawozdanie z września 1937 roku: „Wprawdzie liczba ekscesów nieco zmalała (62 wobec 65 w sierpniu), jednak wyczuwa się znaczne pogłębienie nienawiści do Żydów wśród szerokich mas wiejskich”.

Mosze Rozenbaum zapisał, że żydowscy chłopcy nie chodzili już wtedy pływać w rzece koło Radziłowa, bo zaraz napadali na nich polscy rówieśnicy. On sam jako trzynastolatek został ciężko pobity, a jego jedenastoletniego kuzyna Dawida Sawickiego banda chłopaków otoczyła w stajni i tak poturbowała, że zmarł dwa tygodnie później.

W lutym 1937 roku „Sprawa Katolicka” pisała entuzjastycznie: „Nastrój podniecenia przemienił się w systematycznie zorganizowaną akcję, w której bierze udział ludność całego powiatu. Gospodarze odmawiają sprzedawania żydom żywności, a przy wjazdach do wsi widnieją tablice z napisami »Żydom wstęp wzbroniony«. Sklepiki żydowskie świecą pustką, młyny i wiatraki żydowskie są nieczynne, ponieważ nikt nie daje do nich

zboża z przemiału”. W sierpniu 1938 roku pismo diecezjalne chwaliło sytuację w Zarębach Kościelnych: „Stragany żydowskie są tak pilnowane, że żaden z włościan nie może się zbliżyć i 250 żydowskich rodzin skazanych jest na głód”.

Ten głód – nie w przenośni – coraz częściej zaglądał Żydom w oczy. Ale trzeba też pamiętać, że były to czasy bezpośrednio po wielkim kryzysie i bojkot tylko dokładał się do dramatycznie pogarszających się warunków życia.

Działacze Stronnictwa Narodowego pod koniec lat trzydziestych zmienili taktykę. Państwo interweniowało, gdy wszczynali akcje antyżydowskie, więc zabrali się do zwalczania – zgodnie z linią państwa – komunistów. Eufemistyczne określenie działaczy narodówki, że zwołują „antykomunistyczny” wiec, oz-

naczało, że zwołali wiec antyżydowski, ale władze brały to za dobrą monetę i nie interweniowały. *Sprawozdania* odnotowują bez komentarza, że odbył się kolejny wiec antykomunistyczny, gdy tymczasem należałoby to wyrażenie pisać w cudzysłowie, bo na przykład syjonistów, którzy byli zdecydowanymi przeciwnikami komunizujących Żydów, nie zapraszano do udziału w tych wiecach, przeciwnie, obrywało im się dokładnie tak samo jak Żydom o komunistycznych sympatiach.

Sprawozdania sytuacyjne pozwalają na zestawienie skali działań Stronnictwa Narodowego skierowanych przeciw komunistom i faktycznego rozmiaru działalności komunistycznej. W dziale *Wywrotowa działalność organizacji politycznych* można przeczytać: „Wajsbert Szymon z polecenia Olacha Beniamina

doręczył żołnierzowi z 33 pp... w Łomży, Łabendykowi Mosze 1 egz. »Czerwonego Sz-tandaru«”. Wiece Stronnictwa miały zgoła inną skalę: „W Wąsoszu 7 sierpnia 1938 roku w wiecu antykomunistycznym, prowadzonym przez Kazimierza Gąpskiego, instruktora powiatowego SN, wzięło udział 700 osób, podkreślano konieczność walki z żydokomuną”.

W Radziłowie 3 października 1937 roku wiec antykomunistyczny, poprzedzony nabożeństwem w kościele i złożeniem wieńca na grobie poległego członka OWP (musiało chodzić o jednego z zastrzelonych przez policję w pogromie z 1933 roku), zgromadził na rynku tysiąc osób. Radziłów liczył wtedy tysiąc pięciuset mieszkańców, w tym około sześciuset Żydów, „antykomunistyczny” wiec zgromadził więc prawie całą ludność nieżydowską mi-

asteczka i jeszcze przyjezdnych z okolicznych wiosek. Następny tak wielki spęd na radziłowskim rynku miał miejsce 7 lipca 1941 roku.

„Żywiołowo rozszerza się antysemityzm” – czytamy w sprawozdaniu z lutego 1939 roku. W sytuacji, gdy wybijanie szyb w żydowskich domach, przewracanie straganów i przypadki pobicia Żydów były na porządku dziennym, jedyna bodaj sprawa z Jedwabnego, która trafiła do sądu w 1939 roku, dotyczyła oskarżenia skierowanego przeciw Żydówce. Sąd Okręgowy w Łomży skazał na sześć miesięcy więzienia Etkę Serweta za sprofanowanie krzyża. „Pomimo kilkakrotnego zwracania jej uwagi rozwiesiła koło krzyża bieliznę, wylewała brudy i pomyje” – ujawniała „Sprawa Katolicka”. Można sobie łatwo wyobrazić, że

poszło o drobne, sąsiedzkie niesnaski, Żydzi i Polacy żyli już wtedy w dużej wrogości, ale wciąż dzielili wspólne podwórka.

Urzędnik państwa polskiego, który wcześniej nie miał wątpliwości, że Żydzi są pełnoprawnymi obywatelami, pod koniec dekady traktował już żydowskich obywateli jako obcych. Wyraźnie pokazują to sprawozdania Białostockiego Wydziału Bezpieczeństwa z 1939 roku. „Żydostwo tutejsze pójdzie bowiem zawsze tam, gdzie będzie czuło własną korzyść i interes. Wynika to bowiem z jego bezojczyźnianej psychiki, związku z żydostwem światowym i skrajnie materialistycznego nastawienia”. Albo: „Kwestia żydowska, a szczególnie jej szczęśliwe dla nas rozwiązanie, stanowi wśród najszerszych sfer ludności jeden z bardziej emocjonujących i aktualnych tem-

atów” (sformułowanie „dla nas” łączy zatem dążenia bojówek narodówki z interesem państwowym). A gdy Żydzi wykazywali się obywatelską postawą, protekcyjnie poklepywano ich po ramieniu: „Akcja subskrypcji Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej prowadzona jest z natężeniem i energią przez społeczeństwo żydowskie, które wywiązało się należycie ze swych obowiązków, deklarując sumę sześć i ćwierć miliona złotych”.

Oprócz nasilających się antysemitycznych wystąpień społeczność żydowską niepokoiły pogłoski o zbliżającej się wojnie. Wcześniej działacze syjonistyczni musieli ostro agitować wśród młodzieży za wyjazdem do Palestyny, teraz chętnych było znacznie więcej, niż przewidywały limity narzucane przez mandat brytyjski. Niemal każdy Żyd mieszkający

w tym regionie kraju marzył o wyjeździe albo chociaż o wysłaniu dzieci do Palestyny, a jeszcze lepiej za ocean. Udało się nielicznym.

2 stycznia 2001

Dzwonię do Stanisława Ramotowskiego z noworocznymi życzeniami. Wypisali go właśnie ze szpitala z receptą na jakąś maść, a noga dalej boli tak, że nie może zasnąć.

Obdzwaniam zaprzyjaźnionych lekarzy, którzy mimo nieprecyzyjnego opisu są zgodni, że jeśli chory nie uzyska właściwej pomocy lekarskiej, grozi mu gangrena, amputacja i bolesne konanie. Trzeba mu załatwić szpital w Warszawie.

4 stycznia 2001

Białystok, siedziba Instytutu Pamięci Narodowej. Dostaję akta procesów jedwabieńskich. Pierwszy z 1949 roku, w którym dwadzieścia dwie osoby oskarżono o udział w zbrodni –

skazano jedenaście osób na kary więzienia od ośmiu do piętnastu lat, Karol Bardoń otrzymał karę śmierci, zamienioną następnie na piętnaście lat. I odprysk tej sprawy z 1953 roku, kiedy oskarżano jednego z uczestników, Józefa Sobutę, który w czasie pierwszego procesu się ukrywał.

Setki stron zapisanych niewprawnym piśmem protokolantów, z błędami ortograficznymi. Przesłuchania prowadzono w takich latach, że podchodzę do nich z ostrożnością. Czytam z rosnącym zdziwieniem. Moje wyobrażenia o stalinowskim śledztwie ukształtowała lektura świadectw z sowieckich procesów i powieść Arthura Koestlera *Ciemność w południe*. A tu – choć przecież AK jest „zapłutym karłem reakcji”, za udział zaś w „reakcyjnych bandach” zapadają wyroki śmierci – nikt nie

próbuję podwiązać oskarżonych pod żadną reakcyjną organizację.

Gross pisał, że śledztwo prowadzono wyjątkowo niechlujnie i nie wygląda to wcale na proces polityczny. Faktycznie. Choćby to, że według sentencji wyroku zbrodnia miała miejsce 25 czerwca (choć wielokrotnie pojawiała się wcześniej data 10 lipca). Zeznania za to brzmią autentycznie.

Podjezrzany Władysław Miciura wymienił, że w łapance Żydów brali udział Eugeniusz Śliwecki, Franciszek Łojewski, Józef Sobuta, Franciszek Lusiński „i wielu także było chłopów ze wsi, których nie znałem. Byli to przeważnie młodzieńcy, którzy cieszyli się tą łapanką i znęcali się nad ludnością żydowską”.

Podjezrzany Antoni Niebrzydowski: „[...] było bardzo dużo tych, którzy pilnowali. Zaz-

naczam, że kiedy my Żydów pilnowaliśmy, żeby nie uciekali, to oni bardzo płakali”.

W dyskusji w prasie wokół Jedwabnego powtarza się argument, że nie można wierzyć zeznaniom oskarżonych, bo były wymuszone biciem. O biciu mówili oni na sprawie i nie ma powodu, by im tu nie wierzyć. Zastanawiające przy tym, że nie robiono użytku z „wymuszonych” zeznań, natomiast jawnie je bagatelizowano – nie próbowano odtworzyć przebiegu zbrodni, zadawano wyłącznie rutynowe pytania, a gdy oskarżeni podawali nazwiska kolejnych morderców, nic, przynajmniej w aktach sprawy, nie wskazuje, by ktoś pofatygował się ich odszukać. Może jednak bili, bo „rutynowo” bito w tych czasach zatrzymanych?

Co więcej, to samo co podejrzani mówili też świadkowie.

Roman Zawadzki: „Przyszedł Żyluk Józef z gumą i zabrał ode mnie jednego Żyda, który schował się w młynie przed mordowaniem, lecz Żyluk Józef go znalazł i zabrał, drugi zaś Żyd również został zabrany [...] i wspomnianych Żydów Żyluk Józef zagnał na rynek, a później wszyscy Żydzi zostali spaleni”.

Julia Sokołowska: „Dowódcą wspomnianej akcji był Karolak Marian, miał gumę i zaganiał wszystkich Polaków do mordowania Żydów. Ja sama na swoje oczy widziałam, jak Karolak katował Żydów gumą na rynku oraz zaganiał Żydów z mieszkań na rynek i również bił gumą tak, że aż strach było patrzeć na to ich mordowanie”.

Aleksandra Karwowska: „Kubrzyniecki Józef, zam. Jedwabne, zarznął nożem osiemnaście Żydów, mówił on to w moim mieszkaniu, kiedy stawiał piec”.

Czytam zeznania z procesu z 1953 roku Józefa Grądzkiego, uratowanego z pogromu, który był tego dnia na rynku. Widział dwóch gestapowców, którzy wyciągali Żydów na rynek, a poza tym samych Polaków: „Ja siedziałem w środku rynku i skubałem trawę. [...] do ówczesnej warty należało wiele ludzi, na każdego Żyda było może pięciu z warty. Nie było takich, którzy się tylko gapili; kto był tam, to każdy pomagał gnać Żydów. Wkoło rynku kręciły się polskie dzieci. Słyszałem, jak przechodzące chodnikiem dwie polskie kobiety powiedziały: »Trzeba tak zrobić, żeby świadków w ogóle nie pozostało«”.

W żadnym z tych procesów ani oficerowie śledczy, ani sąd w najmniejszym stopniu nie interesowali się odtworzeniem personaliów ofiar. Nazwiska zamordowanych pojawiają się tylko przypadkowo. I tak Wincenty Gościcki, podejrzany, zeznaje na temat indywidualnych mordów, które miały miejsce 10 lipca, jeszcze przed zapędzeniem Żydów do stodoły: „Rano żona mi kazała wstać, mówiąc: »mnie się niedobrze robi, gdyż blisko naszego domu biją pałkami Żydów«”. Wyszedłem na dwór. Zostałem zawezwany przez Urbanowskiego, który powiedział: »Zobacz, co się robi«, pokazując mi czterech trupów żydowskich, byli to 1. Fiszman, 2. Stryjakowskich dwóch i Blubert”.

W aktach procesowych jest list Henryka Krystowczyka z Jedwabnego, pracującego

w białostockim Komitecie Wojewódzkim pzpr. Jego brata zamordowano po wojnie, gdy jako członek ppr odbudowywał młyn pożydowski Zimnego, który miał się stać własnością Samopomocy Chłopskiej. „Materiał drzewny – pisał – pochodził ze stodoły ob. Śleszyńskiego Bronisława, którą rozebraliśmy z tego powodu, gdyż mu Niemcy wybudowali w zamian za starą stodołę, która spłonęła razem z Żydami, którą dał dobrowolnie sam, by Żydów w niej spalić”.

5 stycznia 2001

Ślęczę dalej nad aktami w białostockim IPN-ie.

Na procesie i podejrzani, i świadkowie zaprzeczali temu, co mówili w śledztwie. Z nowych wersji – a też podań rodzin do sądu z prośbą o wcześniejsze zwolnienie – można by

zrekonstruować zwyczajny dzień miasteczka, dzień, który się niestety 10 lipca nie zdarzył. Mieszkańcy są pochłonięci bez reszty codzienną krzątanią. Karol Bardoń (wyrok śmierci) cały dzień reperuje samochód. Władysław Miciura (dwanaście lat więzienia), zatrudniony w żandarmerii jako stolarz, spędza go, machając stolarskim heblem. Stanisław Zejer (dziesięć lat) ścina w polu koniczynę, co mu polecił burmistrz. Antoni Niebrzydowski pełł kartofle na polu, „w kartoflach przebywał” też Czesław Lipiński. Pracami ogrodowymi pochłonięty był Józef Żyluk, Feliks Tarnacki jeździł na rowerze, Zygmunt Laudański reperował kuchnię, a Bolesław Ramotowski po prostu stał.

Co rusz muszę przerywać czytanie akt procesu jedwabieńskiego, bo próbuję załatwić prze-

niesienie Stanisława Ramotowskiego (przypadkowa zbieżność nazwisk, jak się od niego dowiaduję, ze skazanym Bolesławem Ramotowskim) do Mazowieckiej Kasy Chorych.

Białostocki IPN dopiero się organizuje, co w praktyce oznacza, że gnieździ się w trzech pokojach w jakimś urzędzie. Siedzę twarzą w twarz z prokuratorem Radosławem Ignatiewem, prowadzącym śledztwo w sprawie Jedwabnego. Małe, okrągłe okulary w metalowej oprawce, kołnierzyk ze stójką, ciasno zapięty krawat. Siedzi sztywno, mówi sztywno. Mieszka w Łapach pod Białymstokiem.

– Wahałem się, czy przejść do IPN-u. Zajmowałem się morderstwami. Byłem zaangażowany w moją pracę, siedziałem po nocach. Sformułowanie aktu oskarżenia tak, aby morderca nie mógł się wykić od kary, to jest,

proszę pani, orgiastyczna przyjemność – wygłasza suchym, beznamiętnym głosem.

Pożytek z siedzenia razem z Ignatiewem dla mnie taki, że cały czas do niego zagaduję, komentując to, co czytam. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie listy mieszkańców: „Załączam świadectwo lojalności” i dalej, że obywatel taki a taki „był dobrym człowiekiem i dobrym ob. Państwa Polskiego, i cieszy się swą opinią”. Pod spodem kilkadziesiąt podpisów. Śledztwo nie pozostawia raczej wątpliwości, co ci dobrzy ludzie robili 10 lipca 1941 roku. Zapisuję, by zadać jakiemuś historykowi pytanie, czy zdarzały się zbiorowe poręczenia za aresztowanych AK-owców bądź NSZ-owców.

– Czy to możliwe, żeby solidarność społeczna uruchamiała się tylko wtedy, gdy w grę wchodzi mordowanie Żydów? – rzucam

w przestrzeń. – Przy pierwszych przesłuchaniach i oskarżeniu, i świadkowie wiedzieli dużo o zbrodni, na sprawie już o tym zapomnieli. Czy świadkowie nie odwoływali zeznań, bo prosiły ich o to rodziny oskarżonych, a byli to sąsiedzi, z którymi mieli spędzić resztę życia? – zastanawiam się głośno. – To porażające, jak niechlujnie prowadzone jest to śledztwo – powtarzam.

Ignatiew nie jest pewien, czy nieformalna rozmowa z dziennikarzem nie narusza jakichś zawodowych reguł, i chyba tylko ze staroświeckiej uprzejmości wobec kobiet nie ucina moich uwag. Ale nie mam wątpliwości, że podobnie odczytujemy akta śledztwa. Dlaczego Ignatiewa wzięto do tej sprawy? Pewnie padło na niego, bo był naczelnikiem oddziału białostockiego, a też zakładano, że

jako „tutejszy” będzie umiał rozmawiać z miejscowymi. Czy też dlatego że jako człowiek młody i z prowincji może być łatwo sterowalny?

Trudno mi sobie wyobrazić, by to śledztwo nie było monitorowane przez „czynniki polityczne”, wszak Instytut Pamięci Narodowej jest instytucją polityczną. Pierwszą decyzją Witolda Kuleszy, szefa pionu śledczego IPN, gdy tylko otrzymał nominację z rąk premiera Jerzego Buzka, była zapowiedź, że wystąpi z wnioskiem o ekstradycję ze Szwecji Stefana Michnika, sędziego w sfingowanych stalinowskich procesach, w których zapadały wyroki śmierci. Jestem za rozliczaniem stalinowskich zbrodni, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że spośród większej liczby stalinowskich sędziów wybrano akurat jego ze względu na nieprzy-

padkową zbieżność nazwisk z redaktorem naczelnym „Gazety Wyborczej” (Stefan Michnik to jego brat).

Jakiegolwiek jednak były motywy jego nominacji, prokurator Ignatiew nie sprawia wrażenia kogoś, kim można sterować, zwłaszcza gdy w grę wchodzi prawda procesowa.

6 stycznia 2001

Odbieram Stanisława Ramotowskiego ze szpitala w Grajewie i wiozę do Warszawy na konsultacje w szpitalu na Banacha.

7 stycznia 2001

E-mail od Ewy Lipskiej z Wiednia, która spytała mnie, czy po książce Grossa można jeszcze coś napisać o Jedwabnem. Odpowiedziałam,

że to dziwne zdanie w ustach poetki, i opisałam jej moje dotychczasowe poszukiwania. „Kochana, masz rację – czytam w odpowiedzi – nie wzięłam pod uwagę tzw. poboczy życia. Kilka miesięcy temu, jeszcze przed całą dyskusją o Jedwabnem, do Centrum Wiesenthala przyszedł list od kobiety z Łomży, która po przeczytaniu książki Szymona *Prawo, nie zemsta* opisała mu historię swojej rodziny, swojego miasta, sąsiadów, którzy w 1941 roku ukamienowali Żyda. Na końcu poprosiła go o zdjęcie. Odpisywałam w jego imieniu na ten list, głęboko przejęta. Dobrze, że zaczyna się o tym wszystkim mówić”.

10 stycznia 2001

W szpitalu na Szaserów, gdzie udało się umieścić pana Ramotowskiego. O Radziłowie nie

rozmawiamy, bo jak raz zadałam mu jakieś pytanie, rozglądał się niespokojnie po korytarzu, czy ktoś nie słyszy.

12 stycznia 2001

Na bankiecie „Zeszytów Literackich” rozmowa z reżyserem Erwinem Axerem. Jest sceptyczny co do sensowności nagłaśniania sprawy Jedwabnego. Opowiada mi, że Otto Axer, grafik, jego nieżyjący kuzyn (i przyjaciel mego ojca), dopiero kilka lat przed śmiercią dowiedział się o losach swego ojca w czasie wojny. Wiem, o czym mówi. Czytałam tę piękną opowieść Stanisława Erlicha w „Tygodniku Powszechnym”. Starszy pan z Przemyśla, nauczyciel muzyki Paul Axer, w dniu, kiedy Żydzi mieli się zgłosić dla „odprawienia do obozów pracy”, zrzucił opaskę, wziął składane krzesło oraz kot-

ka i ruszył przed siebie, aż doszedł do brzegu Sanu. Tam rozłożył krzeselko i siedział do wieczora, wpatrując się w nurt rzeki. Znalazła go para pastuszków, brat i siostra, zaprowadzili do domu, gdzie był wakat na miejsce dziadka, który właśnie zmarł. Nie doczekał do końca wojny, ale zmarł wśród ludzi, którzy przyjęli go do rodziny. Erwin Axer prostuje, że to nie było krzeselko i kotek, ale stołeczek i bałajka.

– Otto przez całe życie nie cierpiał chłopów za ich antysemityzm. Powtarzał, że w czasie wojny zajmowali się wydawaniem Żydów. A potem się okazało, że to chłopci uratowali jego ojca i cała wieś o tym wiedziała. A poza tym Żydów wydawali też Żydzi – punktuje na zakończenie Erwin Axer.

13 stycznia 2001

W „Gazecie” Joanna Tokarska-Bakir, antropolog kultury, odwołując się do terminologii psychoanalitycznej, pisze o przymusie polskiej niewinności i o postrzeganiu Holokaustu jako „perfidnego żydowsko-niemieckiego świństwa, które na zawsze odci-na powrót do Soplicowa, tego raj, w którym jak jagnię koło lwa Jankiel pod okiem Gerwazego grywał na cymbałach”.

Jak co dzień w szpitalu u pana Ramotowskiego. Tym razem na chwilę.

– Śpieszę się – wyjaśniam – bo muszę zawieźć moją córkę Olę do synagogi. Ola przygotowuje się do batmicwy, uroczystości związanej z ukończeniem przez dziewczynkę dwunastu lat. Uroczystości, której pana żona na pewno nie miała, bo za jej czasów

urządzano tylko bar-micwy chłopcom. Chodzi na lekcje hebrajskiego i spotyka się z rabinem, pracują nad jej własnym komentarzem do fragmentu Tory, który Ola ma wygłosić podczas uroczystości w synagodze.

– Ale z pani odważna kobieta, żeby takie rzeczy opowiadać – komentuje Ramotowski. – Bo na Żydówkę to wcale pani nie wygląda.

15 stycznia 2001

W szpitalu rozmowa z lekarzem prowadzącym. Ramotowskiemu amputować nogi nie można, po pierwsze – ze względu na wiek, osiemdziesiąt siedem lat, po drugie – na stan serca. Czeka go wielomiesięczne leczenie.

Tymczasem jego żona, która nie chodzi z powodu osteoporozy, a także prawie nie widzi, została w Radziłowie sama, w chałupie,

do której zimno wdziera się przez szpary między belkami, z wychodkiem na podwórku. Dzwonię codziennie do bratanka pana Stasia, przekazując jej pozdrowienia od męża. Dowiaduję się, że pani Marianka nie wstaje z łóżka i że przestała jeść. Należałoby przewieźć ją do tego samego szpitala, w którym leży Ramotowski. Zresztą dobrze byłoby ją przebadać.

17 stycznia 2001

Ustaliłam w szpitalu termin przyjęcia pani Marianny i przynoszę panu Stanisławowi tę wiadomość jak drogocenny prezent. On tymczasem sztywnieje, mówi, że to wykluczone. Ona – już przygotowana przez bratanka do drogi. On – wściekły. Z trudem wyduszam z niego, o co chodzi. Na jego sali leży czterech

kombatantów i na okrągło zaśmiewają się z dowcipów o Żydach. Jak pojawi się żona, od razu poznają, że Żydówka, i będą mu dokuczać.

– Po czym poznają? – pytam.

– A czy ona wygląda i mówi jak kobieta z Radziłowa? – odpowiada pytaniem.

18 stycznia 2001

W archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego wyjmuję z drewnianych szufladek fiszki: Jedwabne, Kolno, Radziłów, Stawiski, Szczuczyn, Wizna, Tykocin, Wąsosz. Kilkanaście relacji złożonych przez ocalałych z Holokaustu, w których, obok opisu niemieckich zbrodni, są też opisy pogromów dokonanych przez polskich sąsiadów. Szymon Datner, który po wojnie w Żydowskiej Wojew-

ódzkiej Komisji Historycznej w Białymstoku odsluchiwał świadków, opracował część zeznań, figurują jako rozdziały pisanej w jidysz książki *Zagłada Białegostoku i okolic* z 1946 roku. Czy ją skończył, nie jest jasne. Na pewno nigdy jej nie wydał. Niektóre świadectwa – uboczny efekt książki Grossa – świeżo przetłumaczono z jidysz.

Wyłania się z nich przerażający obraz tego, co działo się na całym terenie północno-wschodniej Polski po wyjściu Sowietów. Niemcy kazali Żydom pieścić rynek i urządzać „pogrzeby” Lenina czy Stalina, czyli ze śpiewem na ustach rozbijać pomniki, przy czym poniżali ich i bili z pomocą i przy aplauzie części miejscowej ludności. Wywozili Żydów za miasto i rozstrzeliwali albo zabijali ich w biały dzień na ulicach, a w wyłapywaniu

Żydów pomagali im Polacy. W trzech wypadkach doszło do zagłady niemal całych miasteczek i dokonali tego – piszą ocalali z Holokaustu – polscy mieszkańcy za zgodą czy też z poduszczenia Niemców. Nie tylko 7 lipca w Radziłowie, nie tylko 10 lipca w Jedwabnem, ale wcześniej jeszcze, 5 lipca w Wąsoszu.

„To ciche miasteczko padło jako pierwsze ofiarą zwierzęcych, krwiożerczych instynktów – pisze Datner. – Polska policja i miejscowi chuligani ruszyli do żydowskich domów w miasteczku i dokonali tam »świętą pracę« według wzoru rzezi kiszyniowskiej. Mordowano w mieszkaniach i na ulicy. Gwałcono kobiety, obcinając im piersi. Jeżeli w mieszkaniu napotymano dzieci z rodzicami, to najpierw zabijano dzieci. Roztrzaskiwano je o ścianę. Rzeź trwała

przez trzy dni. Tyle czasu udzielili Niemcy mordercom”.

Powinnam włączyć do mojej książki również mord w Wąsoszu.

Datner pisze o spaleniu Żydów w Radz-
iłowiu: „Ogień jeszcze płonął. Krzyki nieszczęs-
nych jeszcze nie zamilkły, a ludzkie zwierzę
nie nasyciło się jeszcze krwią. Puszczają się
do miasteczka bandy młodych wyrzutków, aby
odnaleźć po domach i okolicy tych, którzy się
ukryli. Znajdują i prowadzą do płonącej
stodoły. Dostawiono drabinę, bagnetami
zmusza się nieszczęśników, aby weszli na dach
i skoczyli w ogień”.

Część tekstów w *Zagładzie Białegostoku...*,
nie tylko Datnera, napisano w takiej stylistyce.
Są w nich starotestamentowe okrucieństwo,
o jakim młodzi żydowscy chłopcy musieli czy-

tać w chederze, i młodopolska maniera, która w czasach, gdy chodzili do szkoły, obowiązywała na lekcjach polskiego. Ale czy opowiadane historie zostały wyolbrzymione? I w jakim stopniu? A może wcale?

Z Radziłowa jest kilka kolejnych relacji Menachema Finkelsztejna i jedna Chany Finkelsztejn. Ze zbiorczej relacji opracowanej przez Szymona Datnera dowiaduję się, że w Radziłowie uratowała się jedna rodzina – Finkelsztejnów, mąż, żona i czworo dzieci. Zatem Menachem i Chana muszą być rodzeństwem. Chana opisuje nie tylko zbrodnię, ale też czas ukrywania. „Wieśniacy przy pomocy sołtysa chcieli nas związać i zawieźć na gestapo. Uciekliśmy, każdy w innym kierunku, ja z moim młodszym bratem [...]. Cierpieliśmy głód, chłód, brud. Śmierć zaglądała nam

w oczy każdego dnia. Przez ten czas zmienialiśmy nasze miejsce pięćdziesiąt dwa razy”.

Szymon Datner pisze, że w 1945 roku, zaraz po wyzwoleniu, chłopci zamordowali dwóch Żydów z Radziłowa, Moszego Dorogoja i jego syna Akiwę, gdy ci tylko wyszli z ukrycia, jako niewygodnych świadków zbrodni. Na wieść o tym Finkelsztejnowie uciekli do Białegostoku, dzięki czemu ocaleli. Co się później z nimi stało? Czy jeszcze żyją? Jak mogę ich odnaleźć?

19 stycznia 2001

Myślami jestem wciąż na rynku w Jedwabnem. Czy wiedzieli, że idą na śmierć? Czy łudzili się, że ocaleją, aż do chwili, gdy buchnęły płomienie? W relacji z ŻIH-u Menachema Turka jest opowieść o Żydach z Tykocina, których Niem-

cy 25 sierpnia wywieźli za miasto i zabili. Było to po całej serii mordów, i niemieckich, i polskich, a oni nie stracili nadziei. „Ogłoszono, że następnego dnia o 6 rano mają się zebrać na rynku wszyscy Żydzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, z wyjątkiem kalek i chorych. Wiele kobiet wpadło w spazmy. Zrobił się płacz i zamieszanie, zaczęto biegać jeden do drugiego. Załamując ręce, wznosząc oczy do nieba, pytano: co się dzieje, co robić? Spontanicznie doszło do zebrania u rabina. Część uważała, że należy uciekać, inni twierdzili, że nic złego się nie wydarzy, a jeśli część ucieknie, to po pierwsze zostaną złapani z powodu wrogiego nastroju całego otoczenia, po drugie mogą z tego powodu cierpieć ci Żydzi, którzy zostaną. Próbowano się czegoś dowiedzieć, ale Polacy nabrali wody w usta. Po długiej naradzie

postanowiono, że wszyscy jak jeden mąż stawia się na rynku. Noc była długa, nikogo nie brał sen”.

20 stycznia 2001

W „Gazecie” wywiad z przewodniczącym Kolegium IPN-u Sławomirem Radoniem. Mówi o motywie zemsty za kolaborację Żydów z Sowietami. Przytacza przykład rodzinnej tragedii Laudańskich: dwie siostry, z których jedna zginęła z rąk NKWD, a drugą wywieźli do zsr.

Gwoli prawdy z rąk NKWD zginęła nie siostra Laudańskich, ale żona ich stryja, o siostrze wywiezionej do zsr nie wspominali mi ani słowa, więc wątpię, czy istniała. To, że jeden z braci Laudańskich, Zygmunt, po śmierci stryjenki z rąk NKWD zgłosił się na współpracown-

ika do tej instytucji – można o tym przeczytać w aktach śledztwa z 1949 roku, pisał o tym Gross – jakoś Radoniowi nie dało do myślenia. Jego wywody prowadzą do jednej konkluzji: Gross szkodzi Polsce. Już w grudniu na konferencji prasowej mówił, że *Sąsiedzi* to nieuczciwa, nierzetelna książka, że organizatorem pogromu były niemieckie władze i że to Niemcy dostarczyli paliwo, którym oblano stodołę. Czy takie będzie oficjalne stanowisko IPN-u?

Datner w opracowaniu z 1946 roku pisze: „Dla prawie całej ludności powiatów łomżyńskiego i szczuczyńskiego, która była wyznawcą ultranacjonalistycznej, antysemickiej, endeckiej ideologii, powstała okazja, by pod najwyższym niemieckim protektoratem pozbyć się swoich stuletnich sąsiadów i konkurentów, tych obcych i przeklętych Ży-

dów”. Menachem Turek z Tykocina wspomina: „Przy dźwiękach dzikich grózb, okrzykach zemsty i przekleństwach masa pijana rabunkiem – pod kierownictwem doświadczonych w akcji bojkotu żydowskich sklepów narodowców – wyciągała z domów żydowskich wszystko, co wpadło jej w ręce. Był to cios nie tylko dlatego, że cały dobytek zbierany od pokoleń zniknął i na dzień następny nie został nawet garnuszek, żeby cokolwiek ugotować, ale dlatego że przeprowadzone to zostało wśród współmieszkańców”. Basia Kacper ze Szczuczyna zeznaje, że pogromy zorganizowali „przyzwoici polscy młodzieńcy i chuligani”. Wymienia „dyrektora szkoły Jonkajtysa” jako ich organizatora. Potwierdzałoby to moje przypuszczenia, że źródło tego niesłychanego wybuchu nienawiści, który ogarnął

mieszkańców tamtych stron latem 1941 roku, tkwi we wpajaniu im przed wojną antysemityzmie.

Przeglądałam późniejszy tekst Datnera z biuletynu ŻIH-u z 1967 roku – *Eksterminacja ludności żydowskiej w okręgu białostockim*, na który powoływano się na spotkaniu w Instytucie Historii pan jako dowód, że pogromy lipcowe były dziełem Niemców. „Wkraczaniu niemieckich wojsk towarzyszyły okrutne i krwawe rzezie ludności żydowskiej” – pisał Datner i tak formułował zdania, by nie powiedzieć wprost, że wykonawcami była niekiedy miejscowa ludność. W jednym miejscu wspomniał, że niemieckie grupy operacyjne „często działały przy pomocy tubylczych formacji policyjnych, zorganizowanych spośród miejscowych zdrajców, faszystów, degeneratów lub kryminal-

istów”. Miasteczko Wąsosz, jako pierwsze padło ofiarą”, w Radziłowie „spalono żywcem”, w Jedwabnem „zginęło w okrutny sposób...”. Tylko uważny czytelnik dostrzeże formę bezosobową i późniejsze zdanie: „Jednak większość rzezi w tych pierwszych miesiącach okupacji Niemcy dokonali sami”.

21 stycznia 2001

Rozmowa z Heleną Datner-Śpiewak, córką Szymona Datnera. Przyjaźnię się z nią od lat, bywałam u niej, kiedy żył jeszcze jej ojciec i razem z nią mieszkał. Szymon Datner był uznanym historykiem, pracującym dla ŻIH-u i Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, i jedyną znaną mi w latach siedemdziesiątych osobą, która chodziła do synagogi czy obchodziła Purim.

Helena mówi mi, że wiedziała o Jedwabnem od dawna, od swego ojca, ale dopiero teraz uprzytomniła sobie rozmiar zbrodni. Pytam ją, dlaczego jej ojciec w 1967 roku napisał tekst, w którym nie mówił wprost, że pogromy były dziełem miejscowej ludności, a wiedział to, bo po wojnie spisywał zeznania ocalałych? W 1946 roku pisał o pogromach dokonanych przez miejscową ludność. Może znaczenie ma tu fakt, że książka pisana w 1946 roku w jidysz (choć autor doskonale znał polski) nie była przeznaczona dla polskiego czytelnika? A jeżeli nie, co takiego stało się przez te dwadzieścia lat, że nie chciał, czy też nie mógł powtórzyć prawdy, którą ujawnił tuż po wojnie? Czy uznał, że tylko tekst, w którym więcej zatuszuje, niż da do zrozumienia, będzie mógł przejść przez cenzurę? Czy kryła się za

tym obawa, że fala moczaryzmu zmiecie Żydowski Instytut Historyczny, a jego archiwa trafią na śmietnik? Może był przestraszony – w stanie ducha, który chyba nie bez powodu udzielał się wielu pracownikom ŻIH-u?

Helena mówi, że faktycznie istnienie ŻIH-u było wtedy zagrożone, ale ojciec został jego dyrektorem dopiero w 1969 roku, zresztą na krótko. Do lękliwych, jak jej się zdaje, nie należał. W szczycie stalinizmu wyleciał z pracy z Żydowskiego Instytutu Historycznego, bo zaprotestował, gdy w jego tekście dopisano – zgodnie z obowiązującą partyjną wykładnią – coś obraźliwego o Joincie. Do 1956 roku miał się różnych prac, był pomocnikiem murarza, uczył na kursach dla analfabetów.

– W okresie stalinowskim dużo niebezpieczniej było zachowywać się porządnie –

mówi Helena – i ojciec zapłacił za to wysoką cenę. Ale potem, w środku antysemickiej kampanii, prowadzał się z Kazimierzem Kąkolem i w 1968 roku ukazała się jego książka *Las sprawiedliwych* o Polakach ratujących Żydów.

Prowadzanie się z Kąkolem, redaktorem naczelnym haniebnego w owym czasie tygodnika „Prawo i Życie” i autorem plugawych tekstów, uprzytomnia, jaki lęk musiała uruchomić na nowo rozbudzana nienawiść do Żydów. Wydanie takiej książki w takim czasie oznaczało wpisanie się w obowiązujący nurt – jednym z lejtmotywów antysemickiej kampanii był wątek niewdzięczności: Żydzi szkalują Polskę, choć tylu Polaków ryzykowało dla nich życie. Książka, jak pisał we wstępie Datner, ma „zilustrować postawę narodu polskiego wobec

wycinanego w pień na oczach świata narodu żydowskiego”.

– Ojciec zawsze podkreślał, że nie napisał tam jednego słowa nieprawdy – mówi Helena.
– A gdy tylko zaczynano mówić źle o Polakach, powtarzał, że po ucieczce z getta nie przeżyłby bez pomocy polskich chłopów.

Datner opisywał, że gospodarze ze wsi Dworzyska koło Sokółki dostarczali jedzenia oddziałowi partyzanckiemu, do którego dołączył, raz ostrzegli ich przed Niemcami. Kiedyś powiedział Helenie, że byli to białoruscy, a nie polscy chłopci.

W rozdziale o Polakach z Białostockiego ratujących Żydów odnajduję nazwisko Antoniny Wyrzykowskiej z Janczewka koło Jedwabnego i nazwiska tych, których przechowała: Izrael Grądowski (to musi być ten

sam, którego zeznania procesowe czytałam), Jakub Kubrzański, Berek, Elke i Mojżesz Olszewiczowie, Lea Sosnowska, Szmul Waser-sztejn.

25 stycznia 2001

Pani Marianka w szpitalu na Szaserów. Ramotowski przesiaduje w jej pokoju godzinami.

Opowiada mi, że żona zeznawała po wojnie w procesach (muszę koniecznie odnaleźć jej zeznania!), a jego, wiele lat później, przesłuchiwał prokurator i pytał, jak ratował żonę. Powiedział mu, że zbrodni dokonali Polacy.

– On zaczął na mnie krzyczeć, że Niemcy. Zdenerwowałem się, chwyciłem czapkę, powiedziałem: „Jak pan wie lepiej, to nie mamy o czym rozmawiać” i wyszedłem.

Czyżby przesłuchującym go prokuratorem był Waldemar Monkiewicz? I czy w Radziłowie też objawiły mu się ciężarówki pełne Niemców?

27 stycznia 2001

W „Rzeczpospolitej” tekst profesora Tomasza Strzembosza *Przemilczana kolaboracja*. Autor przytacza opowieści o Żydach, którzy na tamtym terenie mordowali Polaków, a także kolaborowali i donosili sowieckiej władzy. Zdanie z tekstu wydobyte w nagłówku: „Ludność żydowska, w tym zwłaszcza młodzież oraz miejska biedota, wzięła masowy udział w powitaniu wojska sowieckiego. Z bronią w ręku”.

Skąd te masy Żydów miały niby mieć broń? Muszę zajrzeć do źródeł podanych przez

Strzembosza, bo czuję do tego, co pisze, żywiołową nieufność.

Profesor, co opisał w „Karcie” w 1991 roku, zajmował się partyzantką antysowiecką w Biłostockiem, skupioną na uroczysku Kobielno, nadbiebrzańskich bagnach, praktycznie niedostępnych przez dużą część roku. Schroniło się tam kilkudziesięciu partyzantów, w porywach koczowało tam do kilkuset osób, w dużej części ci, którzy musieli się ukrywać przed Sowietami. Partyzanci byli częścią struktury konspiracyjnej, założonej już w październiku 1939 roku przez księdza Mariana Szumowskiego z Jedwabnego i księdza Stanisława Cudnika z Burzyna.

Teraz Strzembosz odwołuje się do rozmówców, z którymi przed laty robił wywiady i prowadził korespondencję w związku z Ko-

bielnem. Jednym z nich była Łucja Chojnowska, spowinowacona z Laudańskimi: „W Jedwabnem, zamieszkanym w większości przez Żydów, były tylko trzy domy, które nie wywiesiły czerwonej flagi, gdy weszli tutaj Rosjanie. Między innymi nasz dom”. Ale Jedwabne było jedynie w jakichś czterdziestu procentach zamieszkane przez Żydów. Informacja, że tylko na trzech domach nie było flag, oznacza, iż niemal wszystkie polskie domy witały Rosjan czerwonymi flagami! Jako dowód na kolaborację Żydów Strzembosz cytuje list od Kazimierza Odyńca, który pisał, że „trupcy polskich partyzantów po walkach na Kobielnem transportował sąsiad mego wujka Władka Łojewskiego, Żyd Całko”. Ale czy to o czymś świadczy? Do transportu Żydów do zbiorczych gett i miejsc Zagłady zaganiano regularnie pol-

skich chłopów, byłoby jednak bzdurą traktować to jako kolaborację. Kolejny dowód to list od Jerzego Tarnackiego z Jedwabnego: „Po mnie i mego brata rodzonego Antka przybył patrol złożony z Polaka ob. Kurpiewski i Żyd o nazwisku Czapnik”. Czyli jeden Polak, jeden Żyd.

Po przytoczeniu świadectw tej wagi Strzembosz uderza w górne tony: „Jeżeli Polski nie uważali za swoją ojczyznę, nie musieli jej wszak traktować jak okupanta i wspólnie z jej śmiertelnym wrogiem zabijać polskich żołnierzy, mordować uciekających na wschód polskich cywilów. Nie musieli także brać udziału w typowaniu swoich sąsiadów do wywózek, owych strasznych aktów odpowiedzialności zbiorowej”.

„Wywózki” to jedno z tych słów o najwyższym emocjonalnym napięciu. Ofiarami wywózek padały całe rodziny, matki, dzieci, starcy, a prawda o nich przez lata była przemilczana. Dokładnie tak jak mord na Żydach w Jedwabnem. Ale przecież profesor musi wiedzieć to, czego nie wie zwykły czytelnik – że prócz Polaków wywieziono stąd tysiące Żydów. Daniel Boćkowski, historyk z Białegostoku, podaje, że Polacy stanowili pięćdziesiąt trzy procent deportowanych, a Żydzi – trzydzieści procent (historycy podają też liczbę dwudziestu procent), a przecież było ich na tych ziemiach mniej niż jedenaście procent. Odrębną sprawą jest szczególna rola wywózek w polskiej martyrologii. Z perspektywy pieców Auschwitz deportacja Żydów w głąb Rosji,

nawet na Syberię, dawała, jak się miało później okazać, największą szansę na przeżycie.

Strzembosz zarzuca Grossowi, że oparł swą pracę na „materiałach UB uzyskanych w wyniku niewątpliwie okrutnego śledztwa z 1949 i 1953 roku, w czasach gdy biskupów polskich skazywano za zdradę narodu polskiego i szpiegostwo na rzecz »imperialistów«”. Gdyby rzucił okiem na materiały procesowe, zauważyłby, że czasy te same, ale procesy różne.

Pisząc o kolaboracji i zdradzie Żydów witających Armię Czerwoną, autor zdaje się nie uważać, że alternatywą dla nich była nie wolna Polska, ale rządy Hitlera. Używanie terminu „zdrada” kryje w sobie jeszcze inną pułapkę: należałoby tych samych terminów używać wobec ludności polskiej, która na tych tere-

nach w czerwcu 1941 roku witała kwiatami i bramami tryumfalnymi niemieckie wojsko. A przecież robiono to z analogicznych powodów – cieszą się nie z tego, że Polska będzie pod obcą okupacją, ale z tego, że odeszli znienawidzeni Sowieci.

Jeszcze dziesięć-piętnaście lat temu, kiedy Strzembosz prowadził badania na tych terenach, żyło przecież znacznie więcej uczestników i świadków jedwabieńskiej zbrodni. Z iloma z nich rozmawiał? Pomyśleć, jaki bezcenny materiał był w zasięgu jego ręki. Wydaje mi się mało prawdopodobne, by nigdy nie zetknął się w swoich badaniach ze sprawą mordowania Żydów. Jest natomiast możliwe, że tego nie usłyszał. Badał los partyzantów z uroczyska Kobielno, zadenuncjowanych i zabitych na miejscu przez NKWD lub

wywiezionych do Rosji, więc nie chciał tego słyszeć.

Na pytanie, dlaczego nie dotknął wcześniej tematu dokonanej na Żydach zbrodni, Strzembosz odpowiada, że nigdy nie zajmował się problemem stosunków polsko-żydowskich. Co nie przeszkadza mu, po książce Grossa, stać się nagle ekspertem w tej sprawie.

31 stycznia 2001

Trwa rewia krytyki Grossa – czepianie się detali, żeby zdyskwalifikować całość. W „Życiu” tekst *Gross kontra fakty* Piotra Gontarczyka, który zarzuca autorowi *Sąsiadów* bezkrytyczne cytowanie świadka. I tak wedle relacji Awigдора Kochawa Żydzi z Jedwabnego wysłali do biskupa w Łomży delegację z pięknymi srebrnymi lichtarzami, co zaledwie na kilka dni

wstrzymało pogrom. Tymczasem – pisze Gontarczyk – biskupa nie było wtedy w Łomży.

To fakt bezsporny. Z *Kroniki Panien Benedyktynek Opactwa Świętej Trójcy w Łomży 1939-1954* pióra siostry Alojzy Piesiewiczówny wynika, że biskup wrócił do pałacu biskupiego nie wcześniej niż 8 lipca wieczorem.

„Przez całą okupację sowiecką biskup się ukrywał” – pisze Gontarczyk. Merytoryczny wątek krytycznych uwag wobec książki Grossa to tylko cienka przykrywka, pod którą kłębią się wielkie emocje, i to tymi emocjami karmi się czytelników. W wątku biskupim ważne jest eksponowanie kalki myślowej: oto polski patriota ukrywa się przed sowiecką zawieruchą, a kolaborujący z Sowietami Żydzi mają czelność go o coś posądzać. Faktem jest, że biskup zmuszony był opuścić swoją rezydencję i za-

mieszkał na wsi, w parafii Kulesze Kościelne, ale jego miejsce pobytu nie było tajne i można było do niego trafić. W zbiorze

Armia Krajowa w dokumentach 1939-1941 znajduje się meldunek operacyjny generała Grota-Roweckiego z 21 listopada 1940 roku wystosowany do generała Sosnkowskiego: „Zupełny krach współdziałania ze strony księży katolickich. Bp Łukomski zabronił księżom kontaktu z robotą niepodległościową”.

Gdy czytałam *Kronikę Panien Benedyktynek*, by sprawdzić, kiedy biskup wrócił do Łomży, co innego zwróciło moją uwagę. Zakonnica opisuje spadające na rdzennych Polaków represje ze strony obu okupantów, ale ani słowa nie poświęca temu, że zniknęła jedna trzecia miasta – tylu było Żydów w Łomży. U niej Żydzi występują w dwóch epizody-

cznych rolach. Raz dyrektor fabryki przyklasztornej, który im dokuczał, okazuje się Żydem i siostra Piesiewiczówna odnotowuje z satysfakcją – a jest wiosna 1942 roku! – że „władze niemieckie usunęły go z zajmowanego stanowiska”. Drugi raz mowa jest o młodej Żydówce, która znalazła schronienie w klasztorze. „Zgłosiła się oryginalna kandydatka, piętnastoletnie, miłe dziewczętko imieniem Janinka. Była Żydóweczką, ochrzczoneą przed kilkoma miesiącami w Złotoryi. Rodziców straciła w ogólnym pogromie Żydów”. Zaraz po wojnie odnalazła ją ciotka. Zakonnica tak widzi dramat jedynych ocalałych z całej rodziny kobiet: „Janinka okazała się prawdziwą chrześcijanką. Nie wzruszyła jej ani prośba, ani łzy, ani zaklęcia ciotki na prochy ojców, ani obietnice bogactw. Na wszystkie ponęty mądra

panienka odpowiadała stanowcze »nie!«. Ciotka kusicielka odjechała”.

2 lutego 2001

W „Rzeczpospolitej” Adam Cyra, pracownik Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, stawia pomnik Jerzemu Laudańskiemu, więźniowi obozów Auschwitz i Sachsenhausen. W sprawie jedwabieńskiej zbrodni Cyra ma do powiedzenia tyle tylko, że jego bohater był z tego powodu katowany i skazany w procesie stalinowskim. „Z determinacją, wierząc w sprawiedliwy osąd historii, broni Jerzego Laudańskiego jego najstarszy brat Kazimierz” – użala się Cyra nad losem Laudańskich.

Tekst ten „Rzeczpospolita” zamieściła bez słowa komentarza. Czy raczej z komentarzem zdjęciowym – z fotografiami obozowymi

Jerzego Laudańskiego. Konotacja oczywista: oświęcimski pasiak to bodaj najbardziej wyrazista ikona ofiary Europy XX wieku. Takie zdjęcia odgrywają dodatkowo rolę polemiczną: Żydzi rezerwują sobie prawo bycia głównymi ofiarami Auschwitz, a tu proszę, Polak, i to szkalowany przez Żydów. Bo wymowa tekstu nie pozostawia wątpliwości: atakowany jest człowiek prawy, bohater. Jakby do Auschwitz wywożono tylko przyzwoitych ludzi.

W szpitalu u Ramotowskich. Pani Marianka nie wstaje z łóżka, natomiast pan Stanisław oswoił się ze szpitalem, wszystkich naokoło zna i prowadzi ożywione życie towarzyskie (skarży mi się lekarz prowadzący, że pacjent jest cały dzień na nogach). Gdy tylko przychodzę, wyciąga mnie poza oddział, siadamy w miejs-

cu, gdzie może palić, i na twardych krzesłach, w przeciągu, godzinami rozmawiamy.

Pan Stanisław wiele razy pił z mordercami, żeby wyciągnąć od nich szczegóły zbrodni. Nie miał dzieci. Nie miał komu przekazać tej prawdy. Ale chciał wiedzieć. Teraz ja wydobywam z niego tę wiedzę.

Szczęśliwie Agnieszka Arnold znalazła im miejsce w ośrodku ewangelickim „Tabita” w Konstancinie, więc mają dokąd się udać po szpitalu.

4 lutego 2001

W Radziłowie z Janem Skrodzkim. Zaczynamy od odwiedzin u jego przyjaciółki z dzieciństwa Eugenii K., gdzie zastajemy jej siostrę z mężem. Janek wspomina żydowski cmentarz,

jakieś dwa kilometry od miasteczka, widział tam po wojnie pojedyncze płyty nagrobne.

– Te płyty brali na taczalniki, żeby siekiery ostrzyć – podejmuje temat mąż Eugenii Jan K.
 – Chyba nie było takiego gospodarza w Radz-
 iłowie, co by nie miał taczalników z kamieni
 cementarnych. Na podpałkę wycięli wszystkie
 wysokie sosny, które tam rosły. Pamiętam je,
 bo we wojnę chodziliśmy zbierać wronie jajka,
 a wrona to nie to, co kruk, na niskim drzewie
 nie zaprowadzi gniazda.

– Jak się ludzie zaczęli odbudowywać, żwir
 na taczki brali i Żydami sobie ściany tynkowali
 – śmieje się szwagier Eugenii Józef K. – A nowa
 władza z tej resztówki, co chłopci nie
 powykradali w nocy, kawałek szosy pobu-
 dowała. Szczaw się rwało na mogiłkach, rósł
 duży, zawsze się te parę złotych zarobiło.

– Co ty pleciesz? – przerywa mu jego żona.
– Przecież pieniałby się taki szczaw, bo tłuszczu tam było dużo. Kto by jadł taki szczaw z cmentarza?

– Ale sprzedawało się dobrze.

Mieszkamy u rodziny Janka w Radziłowie. Kuzyn Piotr K. po wojnie woził przesłuchi-
wanych „za Żydów” na stację kolejową, skąd jechali do Ełku. Cały dzień czekał u pobliskiego gospodarza, by zabrać ich z powrotem. Woził tak ojca Janka, Zygmunta Skrodzkiego. Wspomina też inny proces, w którym też oskarżano „za Żydów”. Jego zdaniem to był tylko pretekst, żeby przesłuchiwać ludzi związanych z podziemiem antykomunistycznym, ale wniosek z tego, że proces w Jedwabnem nie był jedyny. To odkrycie!

Dużo rozmawiamy o czasach powojennych. Wielu w tych stronach straciło życie w bratobójczych walkach między różnymi odłami podziemia. Ci z Narodowych Sił Zbrojnych – jak tłumaczy nam jeden z naszych rozmówców – nie mieli wątpliwości, że z komunizmem należy walczyć „metodą warstwową” – warstwa komunistów, warstwa wapna – i uważali ujawniających się AK-owców za zdrajców. Podziemie antykomunistyczne działało tu jeszcze dziesięć lat po wojnie!

5 lutego 2001

Radziłów. Odwiedzamy księdza. Janek mówi, że jest synem Zygmunta Skrodzkiego, który był tu 7 lipca 1941 roku.

– Jestem przyjezdny – zastrzega od progu ksiądz, lat około czterdziestu, który zresztą nie

zamierza nas przepuścić przez próg. – Nic nie wiem, u nas ludzie o tym nie mówią.

Janek prosi o możliwość zajrzenia do ksiąg parafialnych z 1941 roku. Ksiądz zapiera się, że ich nie ma.

Obchodzimy po kolei dawnych kolegów Janka. Jeden z naszych rozmówców wyciąga z biblioteki książkę o działalności Armii Krajowej w tym regionie autorstwa Jana Orzechowskiego, pseudonim „Strzała”, *Aby pamięć nie zginęła*, ze zdjęciami członków AK z Radziłowa. Trzy nazwiska znam ze świadectwa Menachema Finkelsztejna. Z kart książki o polskich patriotach patrzą na mnie twarze morderców.

6 lutego 2001

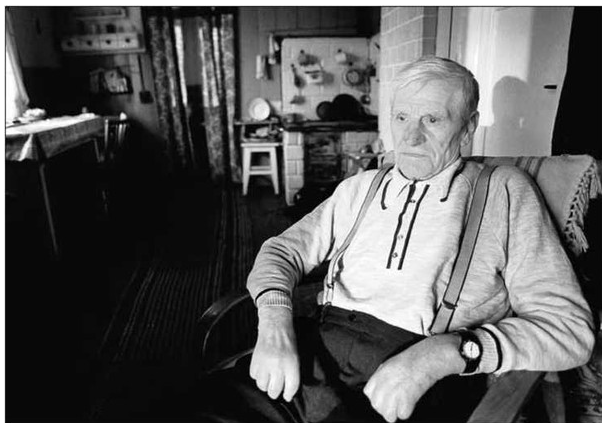
Z powrotem w Warszawie, gdzie jestem umówiona przez Michnika na rozmowę z reżyserem Jerzym Skolimowskim. Adam namawia go na film o Jedwabnem. Uważa, że taki film na pewno powstanie, i obawiając się, że może być antypolski, chciałby rzecz wyprzedzić. Miłabym dostarczyć pozytywnych bohaterów. Joasia Szczęsna, u której się umówiliśmy i która pomaga mi w opiece nad Ramotowskimi, uważa, że oni właśnie byliby wymarzonymi bohaterami filmowymi: Żydówka i Polak, wielkie zagrożenie, wielka miłość, która przetrwała sześćdziesiąt lat, słowem, wszystko, co potrzeba do dobrego scenariusza. Ja natomiast studzę Skolimowskiego w jego – umiarkowanym zresztą – zapale. Na propolski film, tłumaczę mu, Jedwabne nie bardzo się nadaje.

Chciałabym jednak napisać o Ramotowskich dla „Gazety”. Ale Adam Michnik mówi, że jak mam już pisać o Radziłowie, to wystarczy jeden tekst i ma być oparty na różnych źródłach.

Rozdział 2

Chciałem ocalić jej życie, miłość przyszła później

czyli opowieść o Racheli Finkelsztein
i Stanisławie Ramotowskim



Stanisław Ramotowski w swojej chałupie
w Dziewięcinie koło Radziłowa, 2001 rok

Stanisław Ramotowski szedł akurat z Kramarzewa do Radziłowa, kiedy zobaczył na drodze pierwszy niemiecki czołg. Musiało to być 23 czerwca 1941 roku, bo pamięta, że poprzedniego dnia z Radziłowa uciekli Ros-

janie. Na czołgu siedział Antoni Kosmaczewski, który jak tylko go zobaczył, krzyknął: „Wyjmij ręce z kieszeni!”. Ramotowski pomyślał, że ten to zdążył już poczuć się ważny i upoważniony do pouczania innych, jak się zachowywać wobec nowej władzy. Ale to, że dwa tygodnie później Kosmaczewski stanie się uczestnikiem mordu dokonanego na radziłowskich Żydach, nie mogło mu przyjść do głowy.

– W moim Kramarzewie – opowiadał mi Ramotowski – ludzie byli spokojni, nikt nie rabował, ani też nie wybierał się mordować Żydów. Aż któregoś dnia spotykam kolegę, Malinowskiego z Czerwonek, i ten mówi mi, że do Radziłowa wybierają się ludzie z okolicznych wiosek, żeby robić tę samą robotę co dzień wcześniej w Wąsoszu. A co zrobili w Wąsoszu? Chłopi podjeżdżali furmankami pod żydowskie

domy i siekierami zabijali mężczyzn, kobiety, dzieci. Rannych i zabitych ładowali na wozy i wywozili za miasto. Na ulicach pełno było krwi. Zaraz poleciałem ostrzec rodzinę Finkelsztejnów.

Finkelsztejnowie mieli młyn w Dziewięcinie, czyli tuż przy Kramarzewie, ich sad graniczył z łąką Ramotowskich. Jedna ich córka była już mężatką, druga młynarzówna – Rachela – od dawna podobała się Ramotowskiemu.

– Ona była drobna, warkoczyki miała dwa, okulary nosiła od dzieciństwa – mówił, patrząc na swoją żonę z czułością i dumą.

Jeszcze sześćdziesiąt lat po tym, jak spojrzała na niego przychylnym okiem Rachela, uroda Ramotowskiego, wysokiego blondyna o szlachetnym profilu i wiecznie śmiejących się wielkich niebieskich oczach, wciąż może robić

wrażenie. A Rachela? Patrzę na jej zdjęcia sprzed lat i widzę typ niepozornej, chudej, pilnej okularnicy.

Niniejsza darmowa publikacja zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody

NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).